Stron 12

Cena 25 zł.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI · Łódź, 7 sierpnia 1949 r. · Nr 32 (211)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

CW 9037

W NUMERZE

między innymi:

S. Treugutt — Mickiewicz i Puszkin dowym
L. Budrecki — „Mickiewicz" Mieczysław
E. Jagiełło-Łysiowa — „Chłopskie Życie Gos
F. Barkow — Struktura rolna ZSRR
K. Grzybowski — Genealogia zdrady
R. Bratny, K. Oleksik, T. Kubiak — wiersze
E. Niziurski — Na polach elizejskich
J. Pogan — Ludzie i ludziska (fragm. powieści)
W. Borkowski — O zagadnieniach teatru świetlicowego
J. Orski — Rozważania poklątewne
G. Tomala, J. Bicki, E. Mądrowa — uwagi

Aleksander Litwin

„KRYZYS BRYTYJSKI"

Wzajemne przeciwieństwa imperializmów amerykańskiego i angielskiego, skrzętnie skrywane dotychczas przez polityków obu stron, ukazały się ostatnio w pełnym świetle. Stało się oczywiste dla każdego laika, że Stany Zjednoczone, w obliczu kryzysu ekonomicznego, usiłują wyprzeć Wielką Brytanię z dalszych zajmowanych przez nią pozycji na świecie. Wielka Brytania natomiast zazdrośnie strzeże swej pozycji mocarstwa imperialistycznego i nie chce się zrzec zmonopolizowanych przez siebie rynków.

Przeciwieństwa anglo-amerykańskie posiadają swą długą historię. W wyniku pierwszej wojny światowej Stany Zjednoczone stały się — jak wyraził się Lenin — lichwiarzem świata. Rozwinęły wówczas szeroko swą politykę ekspansji kapitałów i wpływów. Konflikt anglo-amerykański wysunął się na czoło przeciwieństw międzyimperialistycznych. Zbieżność przeciwieństw w Europie i na Pacyfiku (Anglia — Niemcy, Ameryka — Japonia i in.), — szczególnie zaś agresywność niemieckiego imperializmu — przesunęły czasowo to przeciwieństwo na dalszy plan. Z tym większą siłą wypłynęło po ostatniej wojnie. Wojna bowiem: po pierwsze — usunęła najbardziej agresywnych konkurentów — Niemcy i Japonię, po wtóre — rozwarła dysproporcje wzajemne między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią. USA stały się najpotężniejszym państwem świata kapitalistycznego i faktycznym jego hegemonem.

Oto kilka cyfr: Produkcja przemysłowa Stanów Zjednoczonych wynosi obecnie blisko 2/3 całej produkcji świata kapitalistycznego. Zapas złota w USA, który w r. 1920 równał się kwocie niespełna 5 miliardów dolarów, podniósł się w końcu 1948 roku do 24 miliardów. Eksport wzrósł w czasie wojny siedmiokrotnie.

Równocześnie osłabła poważnie pozycja Wielkiej Brytanii. Przemysł jej przekroczył wprawdzie przedwojenny poziom produkcji, ale jest wciąż nieznacznie wyższy od poziomu 1913 r. Inwestowane za granicą kapitały brytyjskie zmniejszyły się z kwoty 3.692 milionów funtów w 1938 r. do 1.118 milionów funtów w 1945 r. Udział Wielkiej Brytanii w handlu światowym spadł z 10,1 proc. w 1938 r. do 6,9 proc. w 1945 r. — mimo odpadnięcia wielkich eksporterów — Niemiec i Japonii. Udział floty w tonażu światowym spadł z 26 proc. w 1939 r. do 18,2 proc. w 1947 r.; jest on obecnie mniejszy niż w 1913 r. i wynosi zaledwie 2/3 tonażu floty amerykańskiej. A przecież flota stanowiła zawsze dumę i źródło siły W. Brytanii. Jeszcze bardziej osłabły potęga finansowa Wielkiej Brytanii oraz jej stanowisko polityczne na kontynentach świata. Stany Zjednoczone wyparły ją i wypierają nadal z czołowych stanowisk; z innych przegania ją ruch narodowo-wyzwoleńczy.

Kapitał brytyjski zmuszony jest uznać prymat USA. Dobrowolnie podporządkował mu się w wielu dziedzinach. Pozwolił mu nawet narzucić kuratelę finansową i polityczną nad wielu swymi koloniami i półkoloniami. Ale nie pozwala się zepchnąć do pozycji 49-go stanu i desperacko broni swego stanowiska światowego imperium. Zmuszony jest jednakże niejednokrotnie szukać w imperializmie amerykańskim oparcia przeciwko ruchowi rewolucyjnemu; nie czuje się bowiem na siłach samodzielnie mu przeciwdziałać. Ten sojusz klasowy, a z drugiej strony — poważny kryzys finansowy imperium brytyjskiego — zmusza je do wielu daleko idących ustępstw.

SPRZECZNOŚCI AMERYKAŃSKIEJ KONIUNKTURY

Błąka się wciąż, kolportowana również w Polsce, opinia, jakoby imperializm USA wyszedł z wojny wzmocniony. Twierdzenie to stanowczo nie odpowiada prawdzie. Stany Zjednoczone wyszły wprawdzie z wojny wzmocnione gospodarczo i militarnie. Ale wszystkie podstawowe sprzeczności imperializmu poważnie się zaostrzyły i mocno podważyły jego siły i trwałość.

Produkcja Stanów Zjednoczonych wzrosła w czasie wojny o 130 proc., ale zdolność produkcyjna przemysłu wzrosła jedynie o 30 proc. Kapitał amerykański uruchomił jedynie w toku wojny olbrzymie rezerwowe siły produkcyjne, których nie był w stanie eksploatować w okresie pokoju. Proszę zważyć, że w latach 1930/38 potencjał przemysłowy Stanów Zjednoczonych był wykorzystywany jedynie w 26—28 proc. (licząc produkcję na 2 zmiany).

Nierównomiernie wzrosła jednakże zdolność produkcyjna poszczególnych gałęzi przemysłu. Tak np. ilość obrabiarek metalowych wzrosła z 830 tys. do 1,5 miliona (w liczbach okrągłych). Zdolność produkcyjna przemysłu stoczniowego i lotniczego wzrosła 3—4 krotnie. Narosty w ten sposób dysproporcje, których kapitalizm nie jest w stanie usunąć i pokonać: między zdolnością wytwórczą przemysłu a chłonnością rynku między możliwościami inwestycyjnymi a zapotrzebowaniem gospodarki, między rezerwami produkcji a zdolnością konsumcyjną mas i możliwościami eksportowymi. Zaostrzyły się wraz z tym przeciwieństwa między wielkim kapitałem monopolistycznym a klasą robotniczą, między wielkim kapitałem a kapitałem drobnym i średnim, między kapitalizmem USA a jego zewnętrznymi konkurentami i krajami odeń zależnymi.

Stąd wahadłowość stosunków wewnętrznych, stąd nieustannie, znienacka i ostro powtarzające się objawy krachu i kryzysu (jak np. na jasieni 1947 r., w lutym i maju 1948 r.), stąd ostatni kryzys.

Na jesieni rozpoczął się w Stanach Zjednoczonych nowy kryzys ekonomiczny. Jego przebieg w ciągu kilku ostatnich miesięcy ujawnia ostrość wewnętrznych przeciwieństw kapitalizmu amerykańskiego. Wskaźnik produkcji spadł np. ze 199 w październiku 1948 r. do 179 w maju 1949 r. Ale produkcja przemysłu włókienniczego spadła w ciągu roku o 30 proc., wytop stali o 22 proc., wydobycie węgla koksującego o 50 proc., a bezrobocie sięga już 6 milionów plus 11 milionów częściowo bezrobotnych. Przeciętne tygodniowe zatrudnienie robotnika wynosi jedynie 38,8 godzin. Dochód narodowy spadł w ciągu roku o 9 miliardów dolarów, hurtowe zaś zapasy towarów osiągnęły wartość 32 miliardów dolarów, a więc nieznany w historii Stanów Zjednoczonych poziom.

Stąd walka o rynki — wewnętrzny i zewnętrzny.

Kapitał amerykański usiłuje w tej sytuacji wyjść z trudności następującymi drogami:

1) przez obniżenie poziomu życia klasy robotniczej i równoczesne spotęgowanie eksploatacji jej siły roboczej;

2) przez finansowanie maszyną inflacyjną zbrojeń, podtrzymujących „koniunkturę";

3) przez wzmożenie eksportu surowców, gotowych wyrobów i kapitału;

4) kosztem zależnych od siebie krajów i drogą podboju nowych rynków.

„KRYZYS BRYTYJSKI"

Objawy kryzysu imperium brytyjskiego ujawniły się już w gruncie rzeczy w końcu ubiegłego stulecia. Pierwsza wojna światowa zaostrzyła ten kryzys do takiego stopnia, iż stał się on przysłowiowy i charakterystyczny dla imperializmu okresu ogólnego kryzysu kapitalizmu. Druga wojna światowa kryzys ten jeszcze bardziej pogłębiła i osłabiła imperium brytyjskie.

Anglia straciła swoje pozycje na Pacyfiku. Osłabły jej pozycje w Azji. Dominia uniezależniają się coraz bardziej, a narody kolonialne wzięły broń do ręki. Anglia straciła swą pozycję bankiera świata, a tym bardziej „fabryki świata" — o których pisał niegdyś Marks. Wynikiem tego jest, w dziedzinie gospodarczej, finansowa zależność od kapitału amerykańskiego i zależność jej ekonomiki od... eksportu.

Trudności kapitalizmu brytyjskiego wynikają — rzecz jasna — z jego pasożytniczego charakteru. I jeśli szanowny mister Cripps triumfalnie zapowiadał likwidację tych trudności, mieliśmy prawo zapytać: a czy rząd Labour Party jest w mocy, w ramach kapitalizmu, znieść jego pasożytniczy charakter?

Charakterystyczne — pasożytniczy charakter tego imperium kolonialnego spowodował niedorozwój rolnictwa i przemysłu rolnego. Produkcja własna pszenicy zaspakaja jedynie 18 proc. spożycia Anglii, produkcja słoniny — 33 proc., produkcja tłuszczów i masła — 10 proc. Rząd Labour Party triumfalnie ogłosił swój „plan" podniesienia produkcji rolnej o 50 proc., ale w ubiegłym tygodniu zakomunikował, że... plan wykonany nie będzie. Rząd Attlee ogranicza przy tym import ze Stanów Zjednoczonych artykułów masowej konsumpcji, ale import amerykańskich towarów luksusowych nadal wzrasta. Pasożytniczy charakter gospodarki W. Brytanii, jej monopol spowodował (szczególnie w okresie karteli i trustów) zastój w rozwoju przemysłu, jego zacofanie techniczne i organizacyjne. Nawet Erik Jonston — przewodniczący amerykańskich izb handlowych — widzi, że „monopol był największym przekleństwem przemysłu brytyjskiego". „Cały przemysł brytyjski — twierdzi — jest zarażony mikrobem zastoju".

Słabość ekonomiki brytyjskiej znajduje swój wyraz w nieustannych kryzysach. W pierwszym półroczu 1947 r. — wybuchł kryzys węglowy, latem tegoż roku kryzys finansowy, zimą 1947/48 — kryzys aprowizacyjny, a od jesieni 1948 trwa znów kryzys finansowy. Dziwnym zbiegiem rzeczy kryzys systemu finansowego stał się po wojnie najbardziej jaskrawym wyrazem słabości kapitalizmu angielskiego.

Roman Bratny

T O W A R Z Y S Z

I

**Z okna mej celi
widać ziemię.
Kocham ziemię, jak pilot.**

**Straciłem wiele wiar
— wiele umierać musi w człowieku
za życia.**

**Widać mały kawałek chodnika
i pień ulicznego drzewka.
Wierzę, że tam przyjdzie, że tam stanie**

**Widać kawałek chodnika — świeżą kałużę,
w niej jest niebo prawdziwe.
Wierzę, że tam będzie, że stanie
— towarzysz.**

II

**Wierzę,
choć stąd nic nie widzę.
Przenieśli mnie do innej celi
— a wczoraj wysłany gryps:**

**napisałem, że jeśli towarzysz
przejdzie ulicą, dotknie drzewka
to znaczy — wygrałem, zgubili trop,
nie zabiją naszego zwycięstwa.**

**Ach jak kocham ziemię
— widzę stąd zieloną kopułę drzewka tylko.
Kocham ziemię jak spadochrony,
na których skacze załoga
kochać musi samotny
w płonącym samolocie pilot.**

Z okna widać tylko drzewka szczyt.

**Tam on jest. Stoi.
Walczymy. Wiem — wierzę.
Patrz! Na gałęzi najwyższej widocznej z celi mojej
ptak śpiewa.**

**On tam — przeszedł koło drzewka,
ręką dotknął kory.
Liście do tej pory
drżą, ptak śpiewa.**

Camerado!

III

**Pozdrawiam was, tego więźnia towarzysze,
— to mówię ja, tłumacz,
który odróżnia świetnie swoich poległych towarzyszy ciszę
w gwarze wolnego życia, w wolnych gwarnym tłumie.**

**Najpiękniejsze uderzenie serca — to w piersi towarzysza,
który wrócił pod kulami, gdym ratunku nie miał znikąd.
O serca potężne jak gołębniki,
w których szum skrzydeł słychać!**

**Kocham was, hiszpańskiego komunisty towarzysze bez twarzy.
Znam upojenie,
Gdy do rannego żywy w potrąconej kulami marynarce
przylatywał, pożegnany wzrokiem już beznadziejnie
— rozwiane postrzelane poły, jak skrzydła potrącane wiatrem —
towarzysz, towarzysz, towarzysz!**

**Oto wprost z hiszpańskiego na polski tłumaczenie.
Nie znam języka ale jednako
bije serce — jak wysoko u ptaków —
u wszystkich ludzi, którzy walczą o wyzwolenie.**

**Oto słowa, które zna tyle cudzoziemskich słów
ale jak usta w twarzy
ono nam wierne aż po grób
wszędzie: camerado — towarzysz!**

DM1 TA/ 052

Oto kilka charakterystycznych cyfr: deficyt bilansu płatniczego wyniósł w 1946 r. — 380 milionów funtów, w 1947 r. — 675 milionów funtów, w 1948 r. (po długiej i zaciętej walce o eksport) — 423 miliony funtów, a w pierwszym półroczu bieżącego roku — 239 milionów funtów. W wyniku tego rezerwy złota i dolarów spadły z 680 milionów funtów w 1947 r. — do 381 mil. funtów w końcu czerwca bieżącego roku. Są więc o blisko 100 milionów niższe od dopuszczalnego dla bloku szterlingowego minimum.

Deficyt bilansu płatniczego Wielkiej Brytanii wynika z 3 głównych przyczyn:

1) z deficytowości jej handlu zagranicznego, a szczególnie z deficytowości handlu z „blokiem dolarowym", 2) z olbrzymiego spadku tzw. niewidocznych dochodów, 3) z wydatków wynikających z imperialistycznego charakteru polityki brytyjskiej.

Saldo ujemne bilansu handlowego Wielkiej Brytanii wyniosło w r. 1948 — 432 miliony funtów i w pierwszym półroczu bieżącego roku nie zmniejszyło się, a raczej zdradza tendencję wzrostu. Eksport bowiem w II kwartale br. spadł o 7 proc. w porównaniu z pierwszym kwartałem, w czerwcu zaś spadł w porównaniu z majem ze 161 milionów funtów do 143 milionów funtów. W tym okresie jednakże import wzrósł ze 194,8 do 201,7 milionów funtów.

Ten deficyt bilansu handlowego wynika głównie z obrotów z zachodnią półkulą. Tak np. deficyt handlu z kontynentem amerykańskim wyniósł w 1948 r. okrągło 2,5 miliarda dolarów. Wywóz angielski do Stanów Zjednoczonych wyniósł przeciętnie miesięcznie w r. 1948 5,7 miliona funtów, w maju zaś bieżącego roku zaledwie 3,6 miliona funtów. W tym czasie Wielka Brytania importowała z kontynentu amerykańskiego 2/5 swojego importu, eksportowała zaś 1/6 swojego eksportu. Rzecz charakterystyczna, że w obrotach z krajami niemarshallowskimi Wielka Brytania posiada saldo dodatnie.

Trudności Wielkiej Brytanii pogłębia spadek tzw. niewidocznych dochodów. Spadły dochody z transportów morskich. Spadły dochody z inwestowanych za granicą kapitałów. Oto ciekawy przykład.

Kapitały brytyjskie w południowej Ameryce wynosiły w 1931 r. 1.200 milionów funtów, w roku zaś 1948 wyniosły już zaledwie 632,8 miliona funtów. Spadły więc poniżej poziomu 1913 r. Ale równocześnie 39,8 proc. tych kapitałów nie przynosi w ogóle żadnego dochodu, a pozostałe kapitały przynoszą zaledwie 2,9 proc. w stosunku rocznym. Kapitał amerykański bowiem zajął najbardziej dochodowe pozycje.

Polityka imperialistyczna Wielkiej Brytanii powiększa jeszcze jej trudności finansowe — szczególnie zbrojenia, wojny kolonialne, polityka antykomunistyczna itd. Wydatki na armię są 2,5 raza większe niż przed wojną. Utrzymanie wojsk za granicami państwa kosztuje powyżej 300 milionów funtów rocznie. W wyniku tej „imperialnej" polityki dług Wielkiej Brytanii jest większy od jej majątku narodowego i wynosił w 1948 r. 27 miliardów funtów. Odsetki i raty roczne wyniosły w 1938 r. — 223 miliony funtów, w roku zaś 1947 już — 545 milionów funtów.

JAK WYBRNĄĆ Z TRUDNOŚCI?

Jakie drogi wyjścia z obecnych trudności proponuje mister Cripps? Zamierza on — po pierwsze — ograniczyć import ze strefy dolarowej i podnieść eksport ze strefy szterlingowej do strefy dolarowej; po wtóre — zamierza zamrozić lub obniżyć płace robotników angielskich i wymusić zwiększenie wydajności ich pracy, aby w ten sposób „podnieść konkurencyjność" wyrobów przemysłu brytyjskiego kosztem klasy robotniczej; po trzecie — proponuje rozszerzyć wymianę wzajemną w ramach bloku szterlingowego; po czwarte wreszcie — prosić Amerykę... o dalszą pomoc. Tyle mister Cripps. Mocodawcy jego i, oczywiście, „socjalistyczny" rząd pana Attlee, proponują nadto rozszerzyć eksploatację Afryki.

Plan ten jest, rzecz jasna, nierealny. Ani klasa robotnicza nie pozwoli obniżyć swojego poziomu życiowego bez ciężkich bojów klasowych, ani Ameryka nie pozwoli zwiększyć importu; stosunki z krajami bloku szterlingowego raczej się rozluźniają (odpadły przecież Irlandia, Kanada i Połud. Afryka), a Indie i ludy afrykańskie są coraz mniej skłonne poddawać się bezkarnie wyzyskowi. Ameryka zaś, jeśli pomocy udzieli, to jedynie na bardzo korzystnych dla siebie warunkach.

Panika i bezradność sfer finansowych i rządowych znajduje swe odbicie na łamach prasy.

„Właściwie nie ma sposobu znalezienia wyjścia z obecnej tragicznej sytuacji gospodarczej" — pisze prasa konserwatywna. „Cripps odsłonił wprawdzie tragiczną sytuację W. Brytanii, nie przedstawił jednak dostatecznych środków walki przeciwko takiemu stanowi rzeczy".

„Wszystko wskazuje na to — pisze „Financial Times" — że drenaż dolarowy będzie nadal wzrastać. W tych warunkach oczekiwano, iż rząd stwierdzi z całą stanowczością niezbity fakt istnienia kryzysu narodowego". (Tak pisze organ City!). „Kryzys brytyjski—dodaje — jest zagadnieniem zbyt poważnym, aby stosować wobec niego strusią politykę".

„Kryzys brytyjski — pisze francuska prawicowa „Aurore" — jest również kryzysem europejskim, a nawet światowym. Kryzys ten można rozwiązać jedynie na płaszczyźnie światowej. Jeśli Ameryka będzie nadal pragnęła panować nad Europą pod względem gospodarczym i walutowym, trzeba, by Europejczycy zorganizowali się między sobą i utworzyli wspólny front przeciwko ekspansji dolara"... „Europa zachodnia nie zamieni się nigdy w Amerykę Południową w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi. Życzyć sobie należy, aby Waszyngton to zrozumiał. Jeśli nie — Europa zachodnia ulegnie rozkładowi".

Prasa światowa wskazuje przy tym (ze łzami w oczach) na przyczyny kryzysu. Wiele poważnych, nawet konserwatywnych pism wytyka „pomoc marshallowską", jako główną przyczynę obecnych trudności.

„Pomoc marshallowska — pisze „Daily Telegraph" — zawiodła oczekiwania. Po roku działalności E.R.P. świat dotknięty został kryzysem, na który nie znaleziono lekarstwa. Najbliższe tygodnie będą ciężką próbą dla zachodnich mężów stanu".

W tej sytuacji zgłosiła swą ponowną „pomoc" Wall Street.

Minister Snyder, minister skarbu USA, w imieniu swych mocodawców zażądał: (a nie zaproponował!)

1) dewaluacji funta — co równa się rozbiciu bloku szterlingowego i osłabieniu międzynarodowej pozycji funta,

2) stworzenia dolarowego funduszu stabilizacyjnego i związania funta z walutami europejskimi — tzn. całkowitego uzależnienia funta od dolara,

3) zezwolenia na szeroką lokatę kapitałów amerykańskich w metropolii brytyjskiej; oznacza to w gruncie rzeczy zgodę na wykup przemysłu brytyjskiego przez magnatów amerykańskich,

4) zezwolenia na szerokie inwestycje kapitałów amerykańskich w koloniach brytyjskich, w ramach trumanowskiego planu „pomocy krajom zacofanym"—a to znaczy przekształcenie kolonialnego imperium brytyjskiego w kolonialne imperium amerykańskie.

Tyle minister Snyder. Żądania, jak widzimy skromne. Imperializm amerykański, wykorzystując obecne trudności Anglii, pragnie jedynie ...całkowicie podporządkować sobie imperium brytyjskie.

Oczywiście żądania te napotkały na poważny opór wielu grup kapitału brytyjskiego. Ale opinia tego kapitału bynajmniej nie jest jednolita. Niektóre grupy chętnie zgodziłyby się na obniżenie poziomu życia robotników brytyjskich drogą dewaluacji funta, choć nie chciałyby przy tym, aby funt stracił swe (stosunkowo ograniczone) stanowisko międzynarodowe. Inne grupy chętnie widziałyby kapitały amerykańskie inwestowane zarówno w metropolii jak i w koloniach. Kapitaliści obłowiliby się na tym setnie. Bardziej defetystyczni politycy — zarówno spośród konserwatystów, jak i laburzystów — nie widzą zresztą możliwości długotrwałego oporu — z powodu słabości imperializmu brytyjskiego. Nie widzą możliwości powstrzymania nadchodzącego kryzysu ekonomicznego a szczególnie kryzysu finansowego. Wobec wzrostu ruchów rewolucyjnych na świecie, Wielka Brytania nie widzi żadnych możliwości stabilizacji kapitalizmu bez oparcia się o imperializm amerykański, o jego potencjał militarny i finansowy. Stąd wewnętrzne rozdarcie. Jedni wzywają do oporu, drudzy do kompromisu. Oportunista Cripps, który ponoć stanowczo bronił pozycji funta, bloku szterlingowego i „honoru" imperium brytyjskiego, wyjechał na „urlop", a kierownictwo ministerstwem objął bardziej skłonny do kompromisu — mister Attlee.

Jakkolwiek się sprawa rozwinie w najbliższej przyszłości, jedno jest w chwili obecnej oczywiste: przeciwieństwa anglo-amerykańskie wysunęły się na czoło przeciwieństw świata kapitalistycznego. Ich ostrość wynika zarówno z przesłanek historycznych, jak i z aktualnego układu sił między tymi dwoma czołowymi imperializmami. Sprzeczności tych nie usuną, bo usunąć nie mogą, żadne chwilowe kompromisy — oczywiście kosztem pozycji imperium brytyjskiego i ludu brytyjskiego. W ramach kapitalizmu sprzeczności tych usunąć się nie da. Droga rozwiązania proponowana przez burżuazyjnych polityków, doprowadzić może jedynie do likwidacji imperium i uczynienia z Wielkiej Brytanii 49-go stanu amerykańskiego, jak proponują czołowi przedstawiciele Stanów Zjednoczonych i co propaguje mister Churchill. Ale na to nie pójdzie kapitał brytyjski — w każdym bądź razie w najbliższym okresie. Na to zresztą nie zgodzi się lud brytyjski, brytyjska klasa robotnicza, która coraz wyraźniej widzi cele i owoce planu Marshalla.

Oderwanie Wielkiej Brytanii od dolara i nawiązanie współpracy ze Związkiem Radzieckim i krajami ludowej demokracji mogłoby bezsprzecznie wzmocnić pozycję Wielkiej Brytanii wobec dolarowego „sojusznika". Ale na to wyrazić swej zgody nie chcą krótkowzroczni prowodyrzy kapitału angielskiego — (i, oczywiście, Labour Party); podporządkowują bowiem sprawę kraju swoim interesom klasowym. Kontynuowanie zaś polityki zależności od dolara, w obliczu narastającego kryzysu, przyczynić się może jedynie do dalszego pogłębienia „kryzysu brytyjskiego". Takie też są najbliższe perspektywy.

Aleksander Litwin

Stefan Treugutt

Jakiego Mickiewicza znamy?

Mickiewicz i Puszkin w Muzeum Narodowym

Wystawa „Mickiewicz - Puszkin" w specjalnych autobusach ruszyła w objazd po kraju kierując się przede wszystkim na wsie i miasteczka całej Polski.

Ważnym elementem w serii imprez mickiewiczowskich tego roku jest wystawa ku czci autora „Pana Tadeusza" w salach Muzeum Narodowego w Warszawie. Przed oceną społeczno-kulturalnej doniosłości wystawy warszawskiej koniecznym jest pobieżny chociażby przegląd wystawionych eksponatów i ich układu.

Podstawą układu jest chronologia życia Mickiewicza. Poszczególne więc części wystawy przedstawiają materiały dotyczące miejsc pobytu poety, środowisk ludzkich, z którymi się stykał, faktów życiowych i etapów twórczości. Końcowa część wystawy obrazuje losy pośmiertne twórczości poety, historyczny obraz dziejów jego puścizny poetyckiej i wiedzy o nim. Układ taki jest najprostszy i daje możliwości całego szeregu efektownych i ciekawych zestawień historycznych.

Zgodnie z zasadą chronologiczną widzimy najpierw „Nowogródczyznę i lata dziecięce". Imponuje tu, jak zresztą w całej wystawie, staranny dobór i ilość materiału ilustracyjnego. Współczesne Mickiewiczowi litografie, rysunki, gdzieniegdzie fotografie, dają doskonałe pojęcie o kolorycie miejscowym — (za bardzo trafne trzeba uważać np. ukazanie przy petersburskim epizodzie życia poety serii scen rodzajowych z ówczesnej stolicy imperium carów, czy też współczesnych karykatur politycznych i rysunków w dziale dotyczącym roli Mickiewicza w r. 1848). W sali pierwszej mogą nas zainteresować ciekawe dokumenty, jak oryginał świadectwa gimnazjalnego młodego Mickiewicza lub gablota „Źródła ludowe twórczości A. Mickiewicza". Ale już tu daje się odczuć poważne niedociągnięcie organizacji wystawy: **brak komentarza.** Brak ten razi już bardzo poważnie w sali następnej, poświęconej uniwersyteckim czasom twórcy „Pieśni Filaretów". Oryginalne i bardzo pouczające jest umieszczenie w oddzielnej gablocie czasopism ówczesnych, ale chociażby „Wiadomościom Brukowym", tak dzielnie walczącym z mrokami przesądów, należałaby się jakaś maleńka wzmianka informująca! Chyba że sens tej gabloty ma przemówić tylko do widza z poważnym już przygotowaniem historyczno-literackim? A przecież wystawa powinna być przygotowana dla widza, któremu nie wystarczy karteczka „Przyjaciele" przy podobiznach Zana, Czeczota czy Malewskiego. Wystawę zwiedzają ludzie, którym trzeba by coś powiedzieć o tym, kto to byli Filomaci i Filareci, jakie mieli cele, za co ich prześladowano. A każdemu już przydałoby się przypomnienie, jakie były ich związki z polskim i rosyjskim ruchem rewolucyjnym. Tego rodzaju braki uderzają co chwila. Niezwykle pouczająca jest gablotka z „lekturą młodego Mickiewicza", ale trudno wymagać od przeciętnego widza, by znał uczone przyczynki do „byronizmu i skottyzmu w romantyzmie polskim" i wiedział, co znaczy ta lub owa pozycja w lekturze wileńskiego studenta.

Połowa sali, w której znajduje się wspomniana, a godna pochwał gablota z lekturą, zajęta jest przez wspominki o Maryli. Tu organizatorzy nie mogli oprzeć się tradycji, pokazali co mogli, romansowe i „przechowywane przez całe życie" medaliony, sztambuchy... Nie ukazali jednak społecznej podszewki całej sprawy, nie odpowiedzieli na narzucające się pytanie: a dlaczego to nauczyciel kowieński Mickiewicz nie ożenił się po prostu z jaśnie wielmożną panną Wereszczakówną?

Mniejsza o Marylę — dosyć już o niej na chwałę polskiej filologii naplotkowano.

W sali piątej z kolei mieści się duży i starannie zgromadzony zbiór materiałów tyczących się pobytu poety w Rosji. Trafnie i wszechstronnie potraktowane zostały stosunki Mickiewicza z postępowymi kołami pisarzy i inteligencji rosyjskiej. Materiał obfity, prawda, ale nie zawsze przystępny — nie idzie tu już nawet o historyczno-społeczny komentarz, ale o wyjaśnienia rzeczowe: zatrzymujesz się, widzu, przy tej lub owej recenzji ówczesnych publikacji Mickiewicza, a tu brak nazwy pisma i autora. To już są zasadnicze niedopatrzenia! To samo wrażenie budzą ciekawe, często zupełnie niemal nieznane portreciki Mickiewicza, przy których nie podano takich chociażby wiadomości, że autor nieznany, a pochodzą stąd i stąd.

Monotonne pasmo gablot przerywa wykres ilustrujący podróże Mickiewicza. Niestety jedyny. Strona graficzna wystawy potraktowana została po macoszemu. A szkoda. Należyte jej uwzględnienie ożywiłoby znakomicie wystawę — dałoby możność ukazania Mickiewicza w społecznych perspektywach. Plansze dające historie wydań, popularyzacji Mickiewicza, zasięgu i ilości tłumaczeń, próba bodaj jakiejś statystyki z biblioteki w dużym mieście, czy właśnie z biblioteki gminnej — tego nam zupełnie nie pokazano.

Pisałem już o obfitości materiału, jaki daje wystawa w Muzeum Narodowym. Chwalebnie odznaczają się nią sale poświęcone pierwszemu okresowi emigracyjnemu, okresowi „Dziadów części III" i „Pana Tadeusza". Zgromadzono tu pierwodruki, ikonografię, szeroko potraktowano środowisko. Przy wejściu do części wystawy mieszczącej się na piętrze wita zwiedzających najcenniejszy zabytek wystawy — oryginał rękopisu „Pana Tadeusza"! Ale napróżno byś pytał, czy autograf ten, będący jak wiadomo własnością „Ossolineum", jest jedynym, co się stało z innymi, w jakim stosunku pozostaje do ostatecznej redakcji poprawnej? Materiał rękopiśmienny, obficie na wystawie reprezentowany, konspiruje się dokładnie, nie ma żadnych wskazówek skąd pochodzi, czy został zniszczony, gdy zastępuje się go fotograficzną odbitką itp.

Poważnym plusem wystawy jest ukazanie Mickiewicza w okresie Wiosny Ludów na szerokim tle ówczesnego ruchu postępowego w Europie. Organiczne związki między socjalizmem utopijnym a Mickiewiczem, dalej ewolucja tego ostatniego w okresie „Trybuny Ludów" — (tu zrozumiałym staje się przedstawienie twórców naukowego socjalizmu, Marksa i Engelsa i polskich wydań „Manifestu komunistycznego") — zagadnienie to ciekawe niezwykle i trudne, prawda, lecz szkoda, że poza ukazaniem go, nie pokusili się organizatorzy o próbę wyjaśnienia.

W sali poświęconej ostatniemu okresowi życia poety udało się organizatorom wystawy utrzymać umiar i nie przeciążając drobiazgami oddać patos śmierci Mickiewicza na posterunku.

Wydania dzieł Mickiewicza ukazujące się po śmierci poety, zebrane obficie, ułożone zostały chronologicznie. Tu właśnie dotkliwie daje się odczuć brak współpracy grafika. „Pan Tadeusz", „Pan Tadeusz" i jeszcze raz „Pan Tadeusz" — mruczał jakiś żołnierz zwiedzający ze mną wystawę. Jeszcze mniej strawna jest sala „Wiedza o Mickiewiczu" mimo ciekawego materiału i bardzo oryginalnej gabloty „Poeci Mickiewiczowi". Wystawa mająca popularyzować nie może nudzić, nawet gdyby miała zrezygnować z „dokumentarności" na rzecz społecznie pojętej informacji.

Zarzuty tu przytoczone można by pomnożyć o cały szereg braków organizacyjnych (brak wskaźników kierunkowych, odpowiednich druków informujących itp.), należy jednak przypuszczać, iż w trakcie trwania wystawy zostaną one usunięte. Wszystkie te, poważne nawet niedociągnięcia, nie dyskwalifikują bynajmniej wystawy warszawskiej. Zgromadziła ona imponujący materiał, podkreśliła trafnie szereg zagadnień często dotychczas usuwanych w cień, lub przedstawianych fałszywie przez burżuazyjną naukę o Mickiewiczu. Trzeba tu z uznaniem podkreślić szerokie potraktowanie związków Mickiewicza z postępowymi kołami Rosji, związków Mickiewicza i jego twórczości ze światem słowiańskim (imponująca ilość „mickiewiczianów" pochodzących z ZSRR) — dalej, ukazanie Mickiewicza publicysty, Mickiewicza polityka o skrystalizowanej postępowej ideologii. Brak czynnika informacyjnego, wyjaśniającego, zwęził niestety zakres oddziaływania społecznego wystawy.

Obok wystawy Mickiewiczowskiej urządzono w jednej sali wystawę drugiemu „jubilatowi" — wielkiemu poecie rosyjskiemu, przyjacielowi Mickiewicza, Aleksandrowi Puszkinowi.

Wystawa ta miała w założeniu charakter informacyjny, toteż uniknęła szczęśliwie błędów wystawy mickiewiczowskiej. Starannie dobrany materiał ilustracyjny i książkowy zaopatrzony był w proste, ale dobrze przygotowane komentarze. Życie i koleje twórczości Puszkina ukazane zostały na tle wrzenia rewolucyjnego w Rosji w okresie młodości poety, w latach dojrzałych—na tle dusznej atmosfery carskiego dworu, która go zadławiła. Słusznie był akcentowany związek „dekabrystów" z ruchami wyzwoleńczymi w Polsce.

Następnie, w wielkim skrócie ukazano nam kult Puszkina wśród narodów ZSRR i, co nas dotyczy bezpośrednio, dzieje popularności wielkiego poety Słowiańszczyzny w Polsce. Organizatorom wystawy puszkinowskiej udało się zgromadzić wszystkie dochowane przekłady poety na język polski, oraz całą polską „puszkinologię" Pokaźnie wyglądają osiągnięcia nasze w okresie ostatnich lat, o ile chodzi o ilość przekładów z Puszkina i o szerzenie znajomości jego utworów w Polsce Ludowej W szlachetnej rywalizacji z ZSRR stoimy jednak daleko w tyle — ilość edycji Mickiewicza rośnie tam bardzo szybko.

Lech Budrecki

„Mickiewicz“ Mieczysława Jastruna *)

I

Jury nagrody „Odrodzenia“, przyznając zaszczytne wyróżnienie książce Mieczysława Jastruna „Mickiewicz“, nazwało ją „powieścią biograficzną“. Ta diagnoza gatunkowa na pierwszy rzut oka wydaje się co najmniej paradoksalna, ale powtórna już lektura przekona nas o słuszności takiej klasyfikacji. Można by dodać co najwyżej, że stoimy wobec specjalnego rodzaju dzieła beletrystycznego, w potocznym jego rozumieniu, jakim jest powieść biograficzna. „Dlaczego jednak nie traktujemy pracy tej jako monografii?“—zapytać może czytelnik, sądząc, że popełniamy w ten sposób karygodny błąd. Czy niedostateczność dokumentacji skłania nas ku temu? Z całą pewnością nie. To sprawa historyków, którzy powinni, moim zdaniem, wypowiedzieć się w tej materii, traktując książkę Jastruna nawet jako dzieło historyczne, co niewątpliwie ułatwiłoby krytykowi zadanie, polegające na wykryciu stopnia, w jakim „Mickiewicz“ jest powieścią. Jest nią bowiem z przyczyn zupełnie różnych, jest nią mimo tego, że autor urywa w pewnych miejscach wyjaśnienia, tłumacząc się brakiem świadectw, pozwalających pisarzowi na rozwikłanie przyczyn czyjegoś postępowania, czyichś zachowań. Wystarczy wziąć do ręki jeden z najgłośniejszych rozdziałów książki: „Weimar anno 1829“, by przekonać się o słuszności powtarzanej przeze mnie oceny Jury gatunku tego dzieła o wielkim polskim poecie. Rozdział wypełnia w znacznej części zapis myśli Goethego, jego monolog wewnętrzny. Tego nie mógł podać historyk, tu objawiło się pióro powieściopisarza. Nie ma danych do stwierdzenia, co myślał wówczas Goethe, czy wspominał Marienbad, czy Marię Szymanowską, czy miłości młodzieńcze. To nie jest zarzut, to tylko jedno z licznych potwierdzeń powieściowego charakteru książki Jastruna. Potwierdzeń tych można i trzeba podać więcej. Opis jednego z zebrań dekabrystów, w którym uczestniczył Mickiewicz, kończy autor w taki sposób: „Ktoś podchodzi do okna, wygląda na ulicę z przestrachem. Zasuwają się zasłony. Uciszają się. Świece w lichtarzach mają długie sople, w pokoju jest duszno od dymu tytoniowego“. Tych zdań nie napisałby historyk. Wykraczają one bowiem poza nasze dane empiryczne o tych zebraniach. Tu mówi już prozaik, świadomy swoich środków, nieograniczony tymi zastrzeżeniami, które by nakazały biografowi o ambicjach czysto naukowych wyrugować znaczną część opisu, ponieważ ich zgodności z rzeczywistością nie mógłby sprawdzić. Nie łudźmy się. Jesteśmy całkowicie na gruncie utworu literackiego. Liczne niezaktualizowane monologi chociażby w rozdziale „Uczta u Januszkiewicza“ niewątpliwie staną się dalszym przykładem potwierdzającym coraz pełniej naszą tezę.

Niemniej jednak wyjaśniliśmy dotąd jeszcze bardzo mało. Skoro mówimy, że powieść, powiedzmy jakiego typu. Wspominaliśmy bowiem na wstępie, że powieść to szczególna. Powtarzać, że mamy w tym wypadku do czynienia z beletrystyką historyczną, z rodzajem biograficznym, byłoby zwyczajnym truizmem. Ale nie zapominajmy, że powieść biograficzna tego właśnie typu posiada pewne cechy zgoła niepokojące. Oczywiście tylko na pierwszy rzut oka. Wszelakie postacie fikcyjne zostały z niej usunięte, co zresztą nie powinno nikogo dziwić, znamy bowiem kanony tego gatunku beletrystyki, ale co więcej, pisarz odwołuje się ustawicznie do pamiętników i do listów, nie ufając, jeśli wolno użyć tu metafory, swemu prozaickiemu rzemiosłu i chcąc sięgnąć po laury historyka. Jest to jednak w danym wypadku charakterystyczny chwyt prozaika, który rezygnując z wszechwiedzy odwołuje się do głosu świadków, konstruując na tej podstawie jakiś hipotetyczny i bardzo ostrożny komentarz, albo też w ogóle rezygnując z wypowiedzi od siebie i poprzestając na ukazaniu postaci w szeregu świadectw, co jest bezwzględnym odpowiednikiem owej znamiennej tezy teoriopoznawczej o załamywaniu się w różnoraki sposób tych samych wydarzeń w różnych świadomościach ludzkich.

Najbardziej jednak szokującym miejscem w całej powieści dla zwykłego czytelnika są te fragmenty, w których mamy do czynienia z krytyką literacką nieomal. Czytamy oceny wierszy Mickiewicza, interpretacje nowatorstwa jego poetyki, jego języka poetyckiego, uwagi o wierszach Bohdana Zaleskiego. I tu właśnie czujemy, że książka stanowi jakiś magiczny aliaż. Odczucie to jest niestety bardzo zawodne. W powieści bowiem, w dziełach dla tego gatunku specyficznych, spotykamy aż nazbyt wiele urywków z nieopublikowanych nigdzie szkiców estetycznych. To wcale nie równa się amorfizmowi, nie stanowi także mankamentu książki. Sięgnijmy tylko do Balzaca, ileż tam znajdziemy uwag o malarzach włoskich w dobie renesansu, o pejzażystach holenderskich XVII wieku. W „Straconych złudzeniach“ znajdziemy cały felieton conajmniej tyczący krytyki literackiej, w „Kuzynie Pons“ — długie rozważania o wartości mebli artystycznych, w „Kawalerskim gospodarstwie“ odkryjemy niewątpliwie jakiś skrócony wykład teorii sztuki.

Z całym więc spokojem możemy przystąpić do rozważania książki Mieczysława Jastruna jako dzieła sztuki literackiej określonego rodzaju, nie zgadzając się z autorem, który w zamieszczonym na końcu posłowiu pisze o własnym utworze, że stanowi on „połączenie essay'u literackiego z opowieścią dokumentarną“. Twórcy przecież mylą się często w ocenie własnych dzieł.

II

Powieść biograficzna doczekała się w wieku XX niezwykłego wprost rozwoju. 20 lat przerwy pomiędzy dwu wielkimi wojnami wypełnia publikacja takich właśnie utworów i to we wszystkich nieomal krajach Europy. Mamy we Francji głośne, osławione aż do przesady powieści Maurois, mamy książkę Braud o Robespierre, mamy debiuty wielu drugorzędnych prozaików uprawiających ten właśnie gatunek beletrystyki, natykamy się wreszcie na Roberta Graves, piszącego o dziejach cesarza Klaudiusza, na „la vie romancée“ Fouchego, Marii Antoniny, których autorem jest Stefan Zweig, na idealistyczną koncepcję dziejów tworzonych przez wielkich samotników, wykładaną w grubych tomach Emila Ludwiga. Literatura Związku Radzieckiego w tych samych latach tworzy w tej dziedzinie dzieła przełamujące dotychczasowe konwencje powieści biograficznych. Myślę tu o „Piotrze I“ Aleksego Tołstoja, o „Puszkinie“ Jerzego Tynianowa, i o powieściach Sergiusza Sergiew-Cienskiego. Na gruncie polskim beletrystyka tego rodzaju, niezbyt obficie reprezentowana, legitymowała się „Słowackim“ Wołoszynowskiego i książkami Parandowskiego o Oskarze Wilde.

Powieść Mieczysława Jastruna stanowi więc tu wydarzenie niebylejakie. W książkach Andrzeja Maurois, cieszących się dużym uznaniem w Polsce, otrzymywaliśmy klasyczną biografię przygód duszy „wielkiego człowieka“. „Słowacki“ Wołoszynowskiego był właśnie polskim przedstawicielem tej prozy, gdzie to wszystkie wydarzenia tłumaczono starannie strukturą psychiczną poszczególnych ludzi. Mieliśmy literackie odpowiedniki idealistycznego historioznawstwa, widzącego w tajemnicach psychiki ludzkiej klucz do rozumienia przebiegu dziejów. W specyfice psychicznej Byrona, w urazach przez niego doznanych, leżały zdaniem tych pisarzy przyczyny jego buntu; w niezwykłej indywidualności Napoleona szukać należało genezy marszu armii francuskiej poprzez całą Europę. Książka Mieczysława Jastruna stanowi próbę przełamania tych wszystkich konwencji artystycznych, za którymi kryła się ideologia zachodnio-europejskiej burżuazji, w odpowiedni sposób zmodyfikowana na gruncie polskim, gdzie otrzymywaliśmy charakterystyczne dla spóźnionego mieszczaństwa wizerunki wielkich ludzi odbrązowione i spreparowane w myśl filozofii klas średnich, drobnych fabrykantów i sklepikarzy, wielkie poczynania narodowej hagiografii, zamieniające poetów i powieściopisarzy w gorliwych klerykałów i nacjonalistów. Próba Mieczysława Jastruna, trzeba to powiedzieć otwarcie, udała się. A w jakim stopniu, to już sprawa dalszych rozważań.

III

Mickiewicz kocha się w Maryli. Przebieg jego miłości nabiera w dziele Jastruna cech bardzo specyficznych. Nie dlatego tylko, że romans rozbija się o różnice klasowe, nie z tej racji jedynie, że pomiędzy Puttkamerem a drobnym szlachcicem istnieje jakiś wyraźny przedział społeczny. Sam typ miłości, miłości romantycznej, zagadnienie, mówiąc w skrócie, werteryzmu, ukazane zostało jako zjawisko historycznie uwarunkowane. Nowy styl życia tworzony przez burżuazję i adaptowany przez polską średnią szlachtę wymaga tego właśnie. Cała postać Maryli Wereszczakówny staje się w ujęciu pisarza dziejami dostosowywania się przedstawicielki pewnej określonej grupy społecznej do nowej obyczajowości, idącej z Zachodu. A jeśli przypomnimy sobie, co tak świetnie zobaczył Jastrun, początki narodzin polskiego mieszczaństwa i związki jego z drobną szlachtą, wskazując na małżeństwo „mistrza“ Towiańskiego z córką fabrykanta powozów, zrozumiemy wówczas, że przemiana struktury społecznej Polski, narazie nikła jeszcze, powodowała powstanie nowego stylu życia.

Narodziny tej obyczajowości na Zachodzie ukazuje prozaik pisząc chociażby o młodym hrabim von Hardenberg, poecie znanym pod pseudonimem Novalis. Pośród powieści, gdzie różne rodzaje miłości tłumaczy się charakterem, odrębną strukturą psychiczną — podobne obalenie konwencji, powiązanie pewnego typu zachowań z przemianami obyczajowymi, tłumaczenie ich sytuacją jakiejś klasy społecznej, stanowi zdecydowane zerwanie z kanonami powieści burżuazyjnej ostatnich 20 lat, a ściślej burżuazyjnej powieści biograficznej, która chciała tłumaczyć fakty naturą poszczególnych ludzi. Nie wiem, czy w powojennej beletrystyce polskiej znajdziemy tak bardzo odbiegające od podstawowych rygorów poetyki psychologizmu rozwiązania konfliktu erotycznego.

Mickiewicz w twórczości swej przechodzi ewolucję, wiążę się z romantyzmem. Jastrun wskazuje, co to miało znaczyć, ujawnia nam charakter społeczny romantyzmu, choć jedynie romantyzmu zachodnio-europejskiego, traktując literaturę jako wynik pewnych ewolucji społecznych, ba, klasowych. Tego nie ukazał ani Parandowski w „Królu życia“, ani Wołoszynowski w „Słowackim“. Tu widać coraz wyraźniej jak powieść Jastruna zbliża się ku nowej literaturze, to jest ku tej twórczości artystycznej, u podstaw której leży ideologia służąca interesom proletariatu.

Żaden z pisarzy mieszczańskich 20-lecia, autorów rozlicznych „vie romancée“ nie potrafił rozwiązać w ten sposób problemu twórczości artystycznej. Byron w książce Maurois pisał, bo miał pewne przeżycia. Ta sama sprawa z Shelley'em. Ich typ duchowy był różny. Inaczej więc reagowali na podobne nawet sytuacje, inna była ich twórczość.

IV

Adam Mickiewicz w powieści Jastruna jest niezrozumiały dla Goethego. Twórca „Fausta“ nie interesuje się tym zmuszonym do emigracji poetą, mówiącym stale o wolności swego narodu. Victor Hugo znajduje dla Mickiewicza tylko konwencjonalne powitanie. Balzaca nie ciekawi on wcale. Autor „Pana Tadeusza“ jest jakby odcięty od życia Niemiec i Francji. Znajduje dla krajów tych w swych początkowych artykułach jedynie słowa potępienia. Skąd to wyobcowanie wielu ludzi z emigracji polskiej w społeczeństwie francuskim, skąd drwina, z jaką witają pisarze paryscy koncepcję Towiańskiego?

Jastrun przedstawił tu dramat ludzi przeniesionych z kraju o strukturze feudalnej do państwa triumfującej burżuazji, nie darmo widzącej w rządach Ludwika Filipa swoje własne rządy. Drobna zaściankowa szlachta znajduje się na marginesie Francji owych lat. Nie ma tu możliwości porozumienia między mieszczańską sławą — Victorem Hugo a synem Mikołaja Mickiewicza, adwokata nowogródzkiego, pełnym tradycji kraju wielkich dóbr ziemskich, zajazdów i osławionych wojen między magnatami. Do Paryża przybyli ludzie nie tylko z odległych ziem, ale z minionej epoki, z egzotycznej niejako formacji kulturalnej. I tu znów u podstaw obojętności Goethego, zdawkowej grzeczności Victora Hugo, izolacji Mickiewicza od intelektualnych środowisk mieszczańskich, niechęci do salonów bankierów, staje problem rozwoju społecznego.

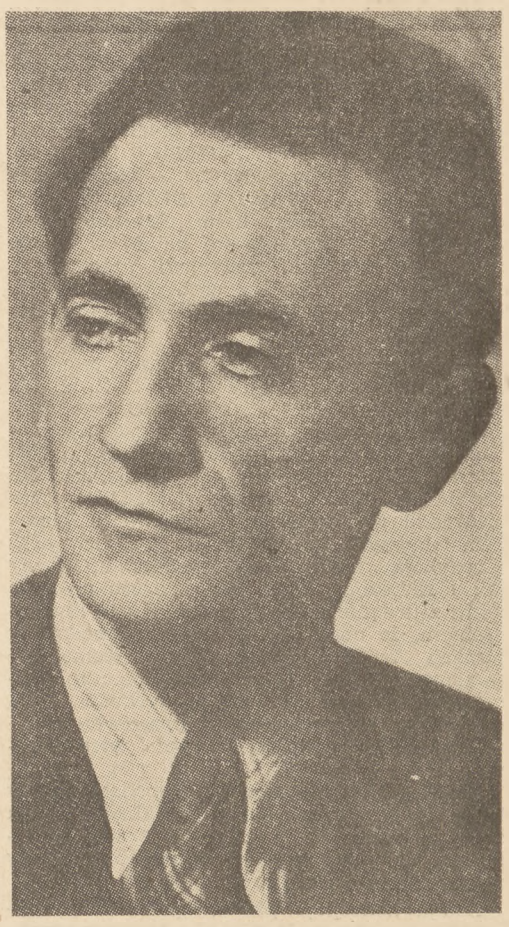

Mieczysław Jastrun

Francja ma już rozwinięty kapitalizm. A w Polsce, w Rosji pojawia się on dopiero w swych nieśmiałych początkach. Mickiewicz w Paryżu przestaje być człowiekiem żyjącym z małej posiadłości ziemskiej, utrzymuje się z pióra, z profesury, przechodzi na pozycję tzw. inteligencji. Ten proces społecznej deklasacji części przynajmniej polskich emigrantów, proces uchwycony przez Jastruna na przykładzie Mickiewicza, to jeszcze jeden przykład nieoczekiwanego sukcesu świetnego poety na terenie prozy, któremu udało się stworzyć na gruncie polskim specjalne i osamotnione dzieło w szeregu innych powieści biograficznych, wskazujące pomimo to linie dalszego rozwoju tego gatunku beletrystyki.

V

Mickiewicz w Rosji trafia do salonów arystokracji. Jest przyjmowany u hrabiego Witta, u ks. Wiaziemskiego, u książąt Wołkońskich. Tu znów uchwycono drogę awansu społecznego jaki otwierał rozgłos literacki. Drobny szlachcic nie trafiłby tutaj, gdyby nie był tak sławnym poetą. Ale komentarz Jastruna w tym miejscu zawodzi. Tłumaczy wydarzenia jakimiś racjami psychologicznymi, tak samo zresztą zawodzi kunszt autora „Mickiewicza“ przy ukazywaniu roli i funkcji społecznej ruchu dekabrystów. Dekabryści w powieści Jastruna walczą o wolność. Jaką wolność, dla kogo? Nie wiadomo. Przez cały czas pobytu Mickiewicza w Rosji pisarz prezentuje nam społeczeństwo tego kraju jako z jednej strony zbiór szlachetnych wrogów cara i despotyzmu, z drugiej zaś Aleksandra I i Mikołaja I nie widząc jednak antagonizmu sił społecznych. To już oznaka załamania, a mówiąc metaforycznie ślad oporu przezwyciężanych konwencji artystycznych ciążących jeszcze nad twórcą. Tak też miłości Mickiewicza w Rosji stają się objawem, zdaniem autora, pewnych dyspozycji psychicznych, przeżyć, pewnego stanu duchowego.

Nowa literatura, nowe konwencje artystyczne nie rodzą się od razu, nie osiągają z miejsca kształtu postulowanego niejednokrotnie przez krytykę. Spotykamy często dzieła powstające na przełomie dwóch nowych typów czy to poezji czy prozy, dzieła pełne wewnętrznych sprzeczności, jakgdyby pisane przez dwu różnych i skłóconych ze sobą autorów. Książki te zazwyczaj wyznaczają kierunek dalszemu rozwojowi twórczości artystycznej w danej dziedzinie, patronują dziełom wolnym już zazwyczaj (przynajmniej w znacznie większym stopniu) od wahań i niepowodzeń, które są udziałem pisarza torującego drogę rodzajowi literackiemu. Takim właśnie pisarzem jest dzisiaj Mieczysław Jastrun jako autor „Mickiewicza“.

*) Mieczysław Jastrun, Mickiewicz, PIW, 1949.

Eugenia Jagiełło-Łysiowa

„CHŁOPSKIE ŻYCIE GOSPODARCZE"

GENEZA SPOŁECZNA PISMA

U podstaw założenia „Chłopskiego Życia Gospodarczego" leżały dwie koncepcje: jedna — **zawodowa**, reprezentowana przez Zarząd Łódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej, druga — **polityczna**, wyrosła na tzw. grupie poznańsko-łódzkiej. Koncepcja pierwsza była chronologicznie wcześniejsza. Powstanie jej należy wiązać z żywymi w Ł.Z.M.W. tradycjami prac zawodowo-gospodarczych i z osobistymi kwalifikacjami zawodowymi niektórych członków Zarządu Wojewódzkiego.

Wydanie pisma było kilkakrotnie tematem rozważań na zebraniach Zarządu Ł. Z. M. W., a w r. 1934 Walny Zjazd Delegatów woj. łódzkiego powziął uchwałę wydawania pisma, które miało być fachowym pismem rolników oraz gospodarczym uzupełnieniem tygodnika „Wici". Zarząd Ł.Z.M.W. przeprowadził na ten temat rozmowy z Zarządem Głównym Zw. Mł W. R. P. „Wici" oraz z redakcją „Wici". Zarówno Zarząd Główny jak i redakcja „Wici" odniosła się do projektu z uznaniem. Uznanie to było tu stwierdzeniem, że obok „Wici" **może wychodzić w ramach Związku agrarystyczne pismo gospodarcze.** Sfera zagadnień społeczno-politycznych była nie podlegającą dyskusji domeną „Wici". O zwróceniu się przeciwko agraryzmowi nie mogło być jeszcze wtedy mowy.

Projekt wydania pisma gospodarczego w Ł.Z.M.W. nie został jednak zrealizowany na skutek różnorodnych przyczyn, przede wszystkim jednak na skutek braku osób, które by mogły pismo redagować.

Druga koncepcja pisma, „polityczna", powstała we wspomnianej już grupie poznańsko-łódzkiej. Dla zobrazowania społecznej genezy tej koncepcji muszę przedstawić bliżej społeczne warunki formowania się grupy poznańsko-łódzkiej. Jak wiadomo Łódź do wojny 1939—45 nie była miastem uniwersyteckim. Z tego też powodu duża grupa młodzieży chłopskiej pochodzącej z okręgu łódzkiego znalazła się na studiach wyższych w Poznaniu. Dlaczego właśnie w Poznaniu? Jednym z czynników, być może najważniejszym, była bliskość tego miasta zważywszy, że woj. łódzkie, z którego pochodziła większość osób omawianej grupy, było do r. 1938 administracyjnie bliższe Poznania.

W dalszym etapie, po wykształtowaniu się grupy poznańsko-łódzkiej, studiowanie „łodzian" w Poznaniu stało się na pewien okres czasu instytucją dla młodzieży wiejskiej okręgu łódzkiego. Duży procent młodzieży studiującej w Poznaniu miał za sobą tradycje pracy w „Wiciach", w niższych ogniwach organizacyjnych. Dla przykładu podam życiorys jednego z członków grupy, życiorys typowy dla tego okresu wśród grup przewodniczących Związku. Stefan Ignar urodził się w r. 1908, a więc miał dwadzieścia lat, gdy powstał Związek Wiciowy. Nie był samoukiem jak np. Niećko, lecz chodził do szkoły powszechnej w swej rodzinnej wsi w pow. łęczyckim, później zaś uczył się w szkole średniej w Łodzi i jak większość uczących się dzieci chłopskich z okręgu łódzkiego wyjechał na studia do Poznania.

Z takich ludzi w większości składa się grupa poznańska. Świadomość chłopska towarzyszy im w czasie studiów. W niedziele i święta wyjeżdżają do rodzinnych wsi i powiatów, by podzielić się swą wiedzą z tymi, którzy zostali na wsi. Biorą udział w różnorodnych kursach wiciowych i imprezach, wznoszą się po szczeblach organizacyjnego awansu w Wiciach. Z czasem niektórzy z nich wchodzą do władz Związku Wiciowego w Łodzi.

Łączność między macierzystym terenem, „Wiciami" a grupą studentów w Poznaniu była tak silna, że dla Ł.Z.M.W. grupa ta stała się z czasem jego „ekspozyturą" na Poznań i w świadomości działaczy związkowych w Łodzi występowała jako „nasze środowisko akademickie". Do „łódzkiego" środowiska akademickiego przyłączyła się nieliczna grupa poznaniaków, w opinii swego własnego środowiska napiętnowana.

SPOŁECZNY IDEAŁ POLSKI LUDOWEJ W „CHŁOPSKIM ŻYCIU GOSPOD."

...„Polską dotychczas gospodarzył każdy, tylko nie jej prawowity gospodarz — chłop. Od niego dopiero i przez niego może się zrodzić naprawdę twórcza metoda pracy w Polsce"[1]). Chłop ma być twórcą przyszłej Polski Ludowej. Jaki chłop, bogaty czy biedny? Agraryzm wiciowy mówi, że **„podstawą** przyszłego ustroju agrarnego... winien być samodzielny warsztat rolny, prowadzony własnymi siłami przez posiadacza i jego członków rodziny", czyli, że dopuszcza się istnienie bogatych gospodarstw chłopskich; komornicy i drobnorolni chłopi mają skorzystać z wywłaszczenia obszarów dworskich.

Uderza fakt, że deklaracje agrarystyczne w Wiciach nie wspominają nigdzie o istnieniu wielkich, nieraz dorównujących dworom (np. w Poznańskiem) gospodarstw chłopskich i o możliwościach ich parcelacji.

Dominuje w agraryzmie chłopski solidaryzm warstwowy, traktowanie wsi chłopskiej jako jednej, niezróżnicowanej ekonomicznie, solidarnej całości. Wieś chłopska jako całość złożona zarówno z małopolskich biedaków jak i z wielkopolskich „kułaków" budować ma agrarystyczną Polskę Ludową.

W jaki sposób miała powstać chłopska Polska Ludowa? Narodzić się ona miała „nie poprzez gwałt i knucie spisków, ale poprzez rozwijanie (w ruchu chłopskim) wszystkich sił twórczych i usprawnienia do zbiorowego zorganizowanego działania"[2]). To nie była droga rewolucji chłopskiej, to było pokojowe wrastanie agraryzmu w kapitalizm. Rozwój agraryzmu, jak twierdziły „Wici", uwarunkowany był w pierwszym rzędzie przez świadomość polityczną i społeczną działających w ruchu ludowym jednostek. Aby przebudować Polskę, trzeba było wprzód przebudować dusze chłopskie.

Nic więc dziwnego, że ruch wiciowy, podkreślający bardzo często, że jest ruchem wychowawczym, miał na względzie w pierwszym rzędzie wychowanie młodego pokolenia chłopów w świadomej chłopskości.

Ideał chłopskiej Polski Ludowej przeniknięty jest głęboko ogólnoludzkimi ideami moralnymi. „Chłopskie pojmowanie organizacji życia społecznego polega na równości, braterstwie i na społecznym stanowieniu praw obowiązujących całą społeczność. W chłopskiej organizacji życia społecznego nie może być miejsca na wcielenie w życie hasła walki o byt i prawa do zwycięstw silniejszych nad słabszymi... Nie przekreślając zasady jednostkowego władania nakreślone zostaną granice, poza które to władanie nie będzie mogło przekroczyć — by nie spowodować wyzysku ludzi uczciwych poprzez ludzi chciwych, chytrych i żądnych życia w próżniactwie i rozkoszach. W chłopskiej organizacji życia społecznego głównym celem będzie rozwój życia powszechności ludzkiej ku ideałom najwyższego dobra, piękna i sprawiedliwości... Najwyższym dobrem w państwie — będzie dobro człowieka i społeczeństwa..."[3]) „W dążeniu do przebudowy ustroju społecznego warstwa chłopska musi iść solidarnie z całym światem pracy, a szczególnie z warstwą robotniczą, zorganizowaną na zasadach pokrewnych idei przewodniej agraryzmu"[4]).

Przodującym czynnikiem w przebudowie ustroju jest warstwa chłopska. Jakie są te „pokrewne" agraryzmowi „zasady" klasy robotniczej? Zwraca uwagę fakt, że nie wymieniono tu słowa socjalizm. Agraryzm uważany był w „Wiciach" za ideę, która wypracowała mało uwzględniony w socjalizmie odcinek wsi. Robotnicy porzuciwszy walkę klas i rewolucyjny punkt widzenia na przebudowę ustroju mogliby być odpowiednikiem agraryzmu na terenie miast. W tych warunkach nawet polski legalny, nierewolucyjny ruch robotniczy był dla agraryzmu nie do przyjęcia.

Myślę, że wśród niedopowiedzeń i niejasności agraryzmu kryje się stwierdzenie, że w przyszłym ustroju prymat należeć ma do warstwy chłopskiej jako całości. Polska Ludowa miała być urządzona przez chłopów, jako 1) tych, którzy stanowiąc w narodzie większość wyszli wreszcie z wiekowego poniżenia i należy im się za to coś w rodzaju rekompensaty, 2) ponieważ są nosicielami jedynie zdolnych zbudować Polskę wartości ludowych. „Ruch ludowy ma olbrzymie zadanie do spełnienia: ma zbudować prawdziwą Polskę, która jeszcze jest nijaka, mętna, zdana na łaskę przygodnych wiatrów i fal... niesfałszowane oblicze i istotną siłę znajdzie naród w złożach zbiorowej duszy chłopskiej. Tam się kryją wartości polskiego plemienia, które są trwałe, naprawdę oryginalne i rzetelnie narodowe... To honor chłopski jest w tym, by jak najrychlej Polska stała się krajem urządzonym po chłopsku. To honor gospodarza, żeby być naprawdę gospodarzem tej ziemi"[5]).

Pokojowe „wrastanie" agraryzmu w „poprawiony polski liberalny kapitalizm" (bez przeżytków feudalnych w postaci szlacheckiego obszarnictwa i bez przygniatającego rolnictwo kapitału przemysłowego) nie pozwala „Wiciom" na zdecydowaną walkę z kapitalizmem. Walka ta skierowuje się raczej przeciwko szlachecko-klerykalnym resztkom feudalizmu jak również przeciwko „półfaszystowskiej wybujałości" kapitalizmu — sanacji niweczącej wolności ustroju liberalno-kapitalistycznego.

W tym samym okresie kiedy „Wici" po przepracowaniu „odgórnym" założeń agraryzmu wpajają w masy członkowskie ideowe założenia niezależnej chłopskiej „trzeciej siły", „Chłopskie Życie Gospodarcze" mówi wyraźnie o dwu tylko światach". Jeden z tych „światów" stanowią ci, „którzy żyją z cudzej pracy" (świat kapitału), drugi ci, „którzy pracują przede wszystkim na innych a potem dopiero na siebie" (świat pracy)[6]).

Chłopi razem z robotnikami należą do wyzyskiwanego przez kapitał świata pracy. „Polska szuka kolonii... jest to zbyteczne, bo przecież wewnątrz kraju mamy olbrzymie tereny kolonialne. Poco szukać czarnych, kiedy mamy 20 milionów białych murzynów"[7]). „Każdy człowiek myślący, patrzący trzeźwo wokoło siebie, widzi na każdym kroku, że... nierówność majątkowa jest źródłem wszelkiego upodlenia i poniżenia człowieczego. Nierówność majątkowa jest fundamentem innych nierówności, które przecież zostały zniesione. Zostało zniesione niewolnictwo, a isnieje wszędzie tam, gdzie jest praca najemna. Zniesiono pańszczyznę, a dzisiaj życie chłopów jest tak ciężkie, jak było za czasów pańszczyzny. A warunki pracy robotników dworskich to przecież typowa pańszczyzna... „Równość" widać w mieście, gdy samochodem rozbija się jakiś grubas ze złotą dewizką na brzuchu, albo dwudziestoletni młokos, a obok zgarbiony starzec ciągnie naładowany wózek. I na wsi widzimy „równość", gdy młodzi i zdrowi ludzie paradują sobie bryczką, opryskując błotem wynędzniałą, starą kobietę, która lezie z trudnością gdzieś tam do znachora dla poratowania zdrowia, albo do kościoła dla oddania się opiece boskiej... Zrozumieć muszą głodni, bezdomni, bezrobotni, że porządek społeczny ułożyli ludzie, a więc i ludzie mogą go zmienić..."[8]).

Jednolitofrontowa postawa „Chłopskiego Życia Gospodarczego" wiąże się mniej lub bardziej ze świadomym przejęciem idei socjalizmu. Niestety trudno jest określić ten stopień świadomości mając do dyspozycji prasę podlegającą sanacyjnej cenzurze. Nie wiadomo, co jest celowym fałszowaniem i zamazywaniem myśli ze względu na cenzurę, co zaś jest wynikiem rzeczywistej postawy ideologicznej „Chłopskiego Życia Gospodarczego". Jak już wspomniałem uprzednio, wydaje się, że świadome przyjęcie socjalizmu było udziałem niewielu tylko członków grupy przewodniczej „Chłopskiego Życia Gospodarczego"[9])

Odbicia tej linii ideologicznej w piśmie brak. Na ogół stanowisko autorów artykułów zbliżone jest do socjalistycznego przy akcentowaniu chłopskiej samodzielności. „Ludzkość idzie do demokracji. Nie do liberalnej demokracji, w której masz prawo głosować, a do garnka nie masz co włożyć. Chodzi o rzeczywistą równość i sprawiedliwość. Ale o tę równość może walczyć skutecznie tylko chłop i robotnik. Nie będziemy dążyć do dyktatury proletariatu, nie uznajemy dyktatury ani jednostki, ani jakiejś klasy miejskiej nad chłopem. Chcemy demokracji i o tę demokrację razem z robotnikami na zasadzie równości walczyć możemy"[10]).

„Łączymy się z wami — mówi do zgromadzonych na manifestacji pierwszomajowej w Łodzi robotników przewodniczący „Wici" W. Janczak — nie z taktyki, nie z wyrachowania. Łączy nas wspólna niedola, wspólna krzywda i wspólna walka. Jesteśmy przecież jednej krwi... Wspólna walka mas robotniczych i chłopskich doprowadzi nas do zwycięstwa, do Polski Ludowej robotniczo-chłopskiej"[11]).

Ideał robotniczo-chłopskiej Polski Ludowej nie godził się z cichym założeniem agraryzmu — roli przewodniczej warstwy chłopskiej. Przejście na pozycje jednolitofrontowe równało się zdradzie ideału agrarystycznej chłopskiej Polski. Znajdzie to swój wyraz w ustosunkowaniu się Zarządu Głównego „Wici" do „Chłopskiego Życia Gospodarczego".

W jaki sposób miał być zrealizowany ideał robotniczo-chłopskiej Polski Ludowej? Do tej kwestii nie ma także prasowych materiałów. Pewne ostrożne wnioski można wyciągnąć z podanych poniżej i podobnych im urywków. „Ci, którzy boją się utraty władzy, folwarków i wielkich dochodów ze swych fabryk i kopalni, oraz zjadacze wysokich pensji i cała zgraja służalców i karierowiczów, poprzez drobne ofiary na powodzian i bezkrwiste towarzystwa dobroczynne chcieliby zakryć polską nędzę i wywołać złudzenie, że się coś radzi. Ale nie uda się tego zrobić pogadankami radiowymi, książkami i gazetami, a nawet ofiarami miłosiernymi i obiecankami ministrów. **Trzeba myśleć o środkach skuteczniejszych i reformach zasadniczych**"[12]).

...„Herb szlachecki szedł zawsze w parze z posiadaniem dworu i pasożytowaniem na chłopskiej pracy... jeszcze my w pacierzu uczyliśmy się, że „godów małżeńskich w czasach zakazanych nie odprawiać — dziesięciny Kościołowi wiernie oddawać". **Chyba, że ludziom zbraknie cierpliwości...**"[13]).

Jednolitofrontowcy z grupy „Chłopskiego Życia Gospodarczego" widzą wieś zróżnicowaną, piszą o wyrobnikach i komornikach — nie piszą jednak o 200-morgowych ludowcach z Wielkopolski. Zwycięża tu idea solidaryzmu w warstwie chłopskiej mimo wyznawanej w praktyce walki klas. Niektóre wypowiedzi zdają się świadczyć o wierze autorów w to, że w ramach zróżnicowanej ekonomicznie warstwy chłopskiej można wprowadzić zasady równości społecznej — trzeba tylko dobrej woli. ...„Popatrzmy... jak właściwie ma się rzecz z demokracją w naszej gromadzie chłopskiej. Co nas uderzy!? Przede wszystkim ten niczym... nie usprawiedliwiony podział na bogatszych, średnich, chałupników, komorników, komornych, rodowych, przywłóków, itd.

Każda gromadka żyje nieomal swym odrębnym życiem z tej prostej przyczyny, że zamożniejsi mają swoją grupę, a do biedniejszych ona się nie zniży.

Gospodarz kilkumorgowy chowający parę lub więcej koni, ma się... o całe niebo za lepszego od czteromorgowego chudeusza — co im obydwom nie przeszkadza pomiatać przy lada okazji chałupnikami czy inną biedotą... Wszędzie, czy na drodze, czy w kościele, na zebraniu, czy też na weselu albo chrzcinach, wszędzie tzw. dziady muszą zejść na plan drugi i zadowolić się byle czym... A niechby który spróbował nie ustąpić, to przy lada okazji dostanie tak za swoją śmiałość, że popamięta. Będzie musiał zęby w ścianę wbić, bo go żaden do roboty nie zawoła"[14]). Uwagi powyższe kończą się jedynie „odwoływaniem" się autora do chłopskich uczuć sprawiedliwości.

Przy tym problemie należy zwrócić uwagę na fakt masowej proletaryzacji chłopów w okresie sanacyjnym. Autorzy „Chłop. Życia Gospodarczego" widzą ten proces, pisząc o dzieleniu zamożniejszych gospodarstw chłopskich. Tym sposobem warstwa chłopska pod wpływem czynników zewnętrznych ulega wyrównaniu. Być może, że jest to jeden z czynników, który przesłania autorom „Chłopskiego Życia Gospodarczego" widok zróżnicowanej ekonomiczno - społecznie warstwy chłopskiej.

Ogólnie trzeba stwierdzić, że ideał społeczny Polski Ludowej jest w grupie „Chłopskiego Życia Gospodarczego" nieokreślony. Zawiera zarówno pierwiastki agrarystyczne jak i socjalistyczne, interpretowane w sposób dość dowolny przez poszczególnych członków grupy.

Mimo to osiągnięciem „Chłopskiego Życia Gospodarczego" jest przejęcie idei o wspólnocie interesów chłopów i robotników, zaliczenie chłopów do świata pracy. Jako świat pracy chłopi muszą toczyć bezwzględną walkę z kapitalizmem, walkę nieosłabioną przez hasła „trzeciej siły".

---

[1]) „Wici" Nr 13, 28 marca 1937 r. St. Młodożeniec — Wiara chłopska.

[2]) „Wici" Nr 21, 16 maja 1937 r. J. Niećko— Na to chłopskie święto zielone...

[3]) tamże

[4]) Z omawianej już Deklaracji ZMWRP „Wici", z części uchwalonej w r. 1935. Zwraca uwagę fakt, że w r. 1931 Niećko pisząc o „miastowych ćmach nocnych" żyjących z pracy „ludu rolnego" nie dostrzegł w ogóle w mieście klasy robotniczej, tak jakby i robotnicy byli owymi „ćmami".

[5]) „Wici" Nr 13, 28 marca 1937 r. St. Młodożeniec — Wiara chłopska.

[6]) „Chłopskie Życie Gospodarcze" Nr 4, 7 lutego 1937 r. St. Ignar — Ludzie pracujący.

[7]) tamże.

[8]) „Chłopskie Życie Gospodarcze" Nr 10, 15 lipca 1935 r. Br. Drzewiecki — Nierówności.

[9]) Dawną grupę poznańsko-łódzką od wydania pisma nazywam grupą „Chłopskiego Życia Gospodarczego"

[10]) „Chłopskie Życie Gosp." Nr 4, 7 luty 1937 r. St. Ignar — Ludzie pracujący.

[11]) „Łodzianin" z dnia 2 maja 1938 r.

[12]) „Chł. Życie Gosp." Nr 6, 15 maja 1935 r. St. Ignar — Nędza ukrywana.

[13]) „Chłopskie Życie Gosp. Nr 12, 15 sierpnia 1935 r. St. Ignar — Przywileje i zyski.

[14]) „Chłopskie Życie Gospodarcze" Nr 15, 1 października 1935 r. Efem (M. Flejszar) — O demokracji słów parę.

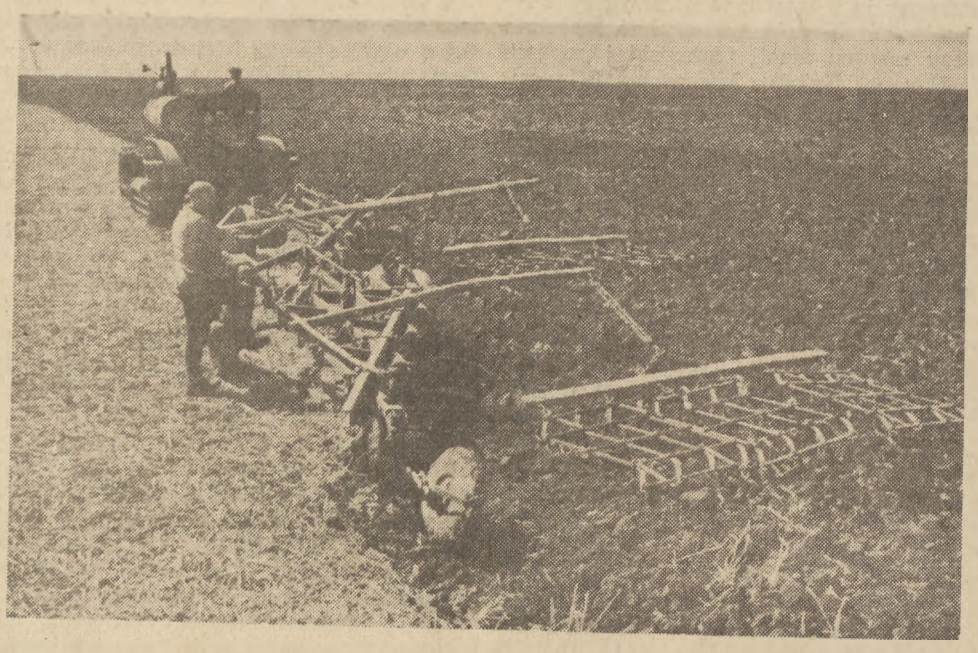

W Państwowym Gospodarstwie Rolnym

F. Barkow

Struktura rolna ZSRR

Spośród największych przekształceń rewolucyjnych, które nastąpiły w ZSRR pod przewodnictwem Partii Bolszewickiej, na pierwszym miejscu stoi socjalistyczne przeobrażenie gospodarki rolnej. Dzięki zwycięstwu socjalizmu gospodarka rolna w ZSRR z zacofanej i rozbitej — jaką była przedtem — stała się najbardziej postępową, największą i najlepiej zorganizowaną na świecie. W roku 1940 było już w ZSRR w miejsce poprzednich 25 milionów pojedynczych gospodarstw chłopów, z których każdy uprawiał dla siebie mały kawałek ziemi, 250.000 dużych socjalistycznych przedsiębiorstw rolnych, wyposażonych w najnowocześniejszą — postępową technikę i stosujących w uprawie roli najnowsze zdobycze i osiągnięcia agrobiologii. Te socjalistyczne duże gospodarstwa osiągnęły w 1940 roku 98,8 proc. całej produkcji surowców rolnych ZSRR.

Socjalistyczne duże gospodarstwa rolne występują obecnie w Związku Radzieckim pod dwiema postaciami: w formie sowchozów[1]) i kołchozów[2]).

Co właściwie przedstawiają sowchozy i kołchozy, co mają wspólnego i czym się między sobą różnią?

Sowchoz jest to duże państwowe gospodarstwo nastawione na produkcję rolną (zboża, kultury technicznej, mięsa, ziarna, bydła rasowego itp.). Jest to przedsiębiorstwo państwowe typu wybitnie socjalistycznego. Ziemia, na której się to gospodarstwo znajduje, wszystkie środki i narzędzia produkcji jak i cała produkcja osiągnięta w sowchozie należą do Związku Radzieckiego — tzn. do całego narodu.

Kołchozy przedstawiają inny rodzaj socjalistycznego przedsiębiorstwa rolnego.

Kołchoz jest to dobrowolne zrzeszenie pracujących chłopów w celu prowadzenia wspólnej gospodarki na zasadzie kolektywnej pracy i daleko posuniętej mechanizacji.

Kołchozy rozwijają się na państwowej ziemi i uprawiają ją przy pomocy traktorów, kosiarek i innych maszyn rolniczych, które oddaje im do dyspozycji państwo za pośrednictwem stacji maszynowych i traktorów. Ekonomiczne podstawy kołchozu stanowią prócz państwowej ziemi także uspołecznione środki produkcji, które są własnością całego kolektywu, wszystkich chłopów pracujących w kołchozie. Kołchoz stanowi więc socjalistyczne przedsiębiorstwo typu spółdzielczego (społecznego). Jest jedną z form gospodarki socjalistycznej, wszelako jedną z mniej rozwiniętych.

Sowchozy, jako państwowe przedsiębiorstwa ściśle socjalistycznego typu i kołchozy, jako przedsiębiorstwa typu spółdzielczego są ze względu na swój charakter o tyle podobne, że bazują i jedne, i drugie na uspołecznieniu własności środków produkcji. Tak w sowchozach jak i w kołchozach panują stosunki koleżeńskiej współpracy i wzajemnej pomocy w duchu socjalizmu. Ta współpraca wolna jest od wszelkiego wyzysku.

Sowchozy i kołchozy są do siebie podobne, ale nie identyczne. Istnieją między nimi różnice uzależnione od obu form własności socjalistycznej: socjalistycznej i kolektywno - społecznej.

Aby tę różnicę między sowchozami i kołchozami lepiej sobie uzmysłowić, musimy zbadać istotę społecznej własności oraz zagadnienie organizacji pracy i wynagrodzenia oddzielnie, jak też rozpatrzyć system kierownictwa i zarządu w sowchozach i kołchozach.

Zatrudnieni w sowchozach nie różnią się od robotników fabrycznych ze stanowiska społecznego, lecz ze względu na rodzaj ich czynności. Np. podczas gdy ślusarz jakiejś fabryki maszyn zatrudniony jest zestawianiem poszczególnych części maszyn, to traktorzysta, względnie obsługujący maszynę rolniczą w sowchozie, pracuje na traktorze czy kosiarce w polu, uprawia ziemię, lub zbiera plony. Robotnicy w sowchozach, podobnie jak robotnicy w fabrykach, otrzymują wynagrodzenie w pieniądzach i to w takiej wysokości, która odpowiada jakości i ilości ich pracy. Tak więc np. robotnicy pracujący w polu w sowchozie za czynności swe (orkę, sianie itp.) wynagradzani są w zależności od ilości obrobionych hektarów, z doliczeniem do tego pewnych dodatktów przy wzroście produkcji ponad normę od hektara. Gdy więc dwaj robotnicy w różnych sowchozach wykonują tę samą pracę, otrzymują naogół tę samą zapłatę. Robotnicy sowchozów żyją w warunkach nie wiele różniących się od warunków życiowych robotników miejskich.

Osiedla robotnicze w sowchozach mają wygląd małych nowoczesnych miast. Znajdują się w nich: teatry, kina, świetlice. Mieszkania robotników sowchozowych mieszczą się przeważnie w nowych domach, są zaopatrzone w elektryczność, kanalizację i radio.

Zasady pracy robotników fabrycznych są identyczne z zasadami pracy pracowników sowchozów.

System zarządzania i kierownictwa w sowchozach nie różni się od systemu kierownictwa w fabrykach. W sowchozach, jak w każdym radzieckim przedsiębiorstwie, panuje zasada odpowiedzialności osobistej. Dyrektor sowchozu nie jest wybierany, tylko mianowany przez organa państwowe. Również kontrolę nad działalnością sowchozu sprawują organa państwowe, które reprezentują wolę narodu, wolę klasy robotniczej, jako władzy zwierzchniej w społeczeństwie radzieckim.

[1]) „Sowietskoje hozjajstwo" skróc. „Sowchoz" — majątek państwowy.

[2]) „Kollektiwnoje hozjajstwo", „kołchoz" — kolektywne gospodarstwo rolne.

Stacja doświadczalna Akademii Rolniczej im. Timiriaziewa w ZSRR. Znakomity uczony sowiecki prof. Łoreh informuje studentów o nowym gatunku ziemniaka

Zasadnicze i najważniejsze jądro ruchu kolektywnego w obecnym etapie socjalistycznego budownictwa w Związku Radzieckim stanowi kolektyw rolniczy (kołchoz). Jest to, jak już wspomnieliśmy, dobrowolne połączenie się chłopów w jedno duże przedsiębiorstwo w celu zbiorowego gospodarowania. Socjalistyczny charakter takiego rolnego stowarzyszenia wyraża się w tym, że jest ono uplasowane na ziemi państwowej, posługuje się środkami produkcji, które również należą do państwa. Państwo oddało kołchozom ziemię na wieczne i bezpłatne użytkowanie.

Przed wybuchem drugiej wojny światowej kołchozy rozporządzały ponad 370 milionami ha ziemi (240 milj. więcej niż pracujący chłopi mieli w Rosji carskiej). Kołchoz jednak nie ma prawa sprzedawać ani oddawać w dzierżawę ziemi nadanej mu aktem państwowym na wieczne użytkowanie.

Aby zrzeszonych w kołchozie chłopów wspierać w ich pracy produkcyjnej, państwo stworzyło stacje maszynowe i traktorowe. Są to przedsiębiorstwa państwowe typu ściśle socjalistycznego, w których skoncentrowano tabor traktorów, kosiarek i innych maszyn rolniczych. Za pomocą traktorów i maszyn niosą owe stacje istotną pomoc kołchozom przy uprawie roli i zbiorach plonów.

Stosunki między stacjami maszynowymi i traktorowymi a kołchozami, opłaty za korzystanie z traktorów i innych prac stacji w kołchozie regulowane są na podstawie specjalnych kontraktów. W takim kontrakcie określone są dokładnie obustronne zobowiązania i obustronna kontrola, nad wypełnieniem których czuwają obie strony. Sens tych kontraktów tkwi w tym, że zapewnia stale wzrastającą dochodowość kultury rolnej w kołchozach. Kontrakt zawiera pełny wykaz wszelkich prac wykonywanych przez stacje maszynowe i traktorowe w kołchozie, dzięki czemu ustalony jest nie tylko dokładny zakres lecz także jakość i termin ich wykonania.

Aby zabezpieczyć interesy państwa, w kontrakcie zawarte są także zobowiązania kołchozu co do terminowych dostaw kontyngentu państwowego w naturze i pieniądzach — jako zapłaty za prace traktorów i maszyn ze stacji. Stosownie do warunków kontraktu wynagradzane są przez kołchoz tylko prace wykonane bez zarzutu. Za prace, które nie zostały wykonane w terminie przewidzianym w kontrakcie, kołchoz płaci o wiele mniej w porównaniu do opłaty za terminowo wykonaną robotę.

W kolektywach rolnych uspołecznione są wszystkie najważniejsze środki produkcji (inwentarz żywy, pługi, młocarnie itp.), ziarno na siew, budynki gospodarskie i społeczne oraz przedsiębiorstwa pomocnicze.

Kolektyw rolny, tzn. walne zgromadzenie jego członków, rozporządza samodzielnie uspołecznionymi środkami produkcji i wytworzoną produkcją. Po wypełnieniu zobowiązań w stosunku do państwa i po opłaceniu pracy stacji maszynowych i traktorowych zgromadzenie rozdziela osiągniętą produkcję wg planu produkcyjnego. Po odłożeniu zapasów na siew, opłaceniu składek ubezpieczonych, odłożeniu sum na potrzeby kolektywu zgromadzenie dzieli swój czysty dochód (produkty i pieniądze) pomiędzy kołchoźników.

Specyficzną właściwością kołchozu jest to, że obok społecznego (wspólnego) gospodarstwa istnieją także prywatne — każdy kołchoźnik ma do swego osobistego użytku kawałek ziemi od 0,25 do 1 ha, bydło (1—2 krów, do 30 owiec, do 10 świń), drób w nieograniczonej ilości oraz mniejsze narzędzia gospodarskie niezbędne we własnym gospodarstwie. Prywatne gospodarstwo kołchoźnika jest pomocniczym przedsiębiorstwem i stanowi dlań źródło dodatkowego dochodu. Są one również dlatego niezbędne, że kołchoźnik, który przed niedawnym jeszcze czasem posiadał małe prywatne gospodarstwo, nie może się wyzbyć odrazu dawnego przyzwyczajenia.

Źródłem wzrastającego materialnego dobrobytu kołchoźników jest ziemia, wspólne gospodarstwo i wspólna, zbiorowa praca. Główna uwaga kołchoźników koncentruje się na ugruntowaniu i rozwoju wspólnego gospodarstwa, gdyż zależnie od tego, im większe są dochody w produkcji kołchozu, tym większe są również zyski kołchoźników tak w naturze jak i w gotówce, a tym samym podnosi się materialny i kulturalny poziom ich życia.

W obecnym etapie socjalistycznego budownictwa w ZSRR kołchoz jest jedyną racjonalną formą ruchu kolektywizacyjnego; forma ta stwarza harmonię między osobistymi i społecznymi interesami kołchoźników, uzgadnia prywatne interesy ze społecznymi i wychowuje kołchoźników w duchu kolektywizmu. w duchu komunizmu.

Praca w kołchozie podzielona jest według specjalności. Brygady produkcyjne zajmują się uprawą roli, inne — hodowlą, jeszcze inne — budownictwem.

Praca kołchoźników wynagradzana jest według dni roboczych. Dzień roboczy jest jednostką miary, jakości i ilości wykonanej pracy przez poszczególnych kołchoźników i przez cały kolektyw. Zależnie od tego, czy praca jest ciężka, skomplikowana, ważna dla kołchozu i wymagająca kwalifikacji — dzieli się na grupy. Dla każdej grupy ustalona jest jednolita norma płacy. Lżejsze, mniej ważne prace oceniane są połową normy dnia roboczego. Przy pracach najcięższych i najważniejszych stosowana jest norma wynagrodzenia jak za 2,5 dnia roboczego.

Wszystkie przez kołchoźników przepracowane dni robocze wciągane są do książek pracy. W celu wzmożenia dyscypliny pracy walne zgromadzenie kołchozu ustala minimalną liczbę dni roboczych na przeciąg roku. Minimum to różne jest w poszczególnych kołchozach. Przeciętnie wynosi ono 150 — 200 dni. W praktyce łączna minimalna ilość dni roboczych jest stale przekraczana.

Od wykonanej pracy w kołchozie — jako całości i jako pracy każdego poszczególnego kołchoźnika — zależą dochody kołchozu i każdego kołchoźnika z osobna. Po zakończeniu roku znaczna część wspólnego dochodu zostaje rozdzielona między kołchoźników. Każda rodzina otrzymuje produkty i pieniądze stosownie do ilości dni roboczych wykonanych przez cały kolektyw.

Ponieważ poszczególne kołchozy pracują w rozmaitych warunkach, przeto wysokość ich dochodów jest też rozmaita. W Związku Radzieckim istnieje obecnie tysiące kołchozów o milionowym majątku. W takim kołchozie na każdy dzień roboczy przypada 5 — 7 kg zboża, 10 — 20 rb. gotówką i wiele innych artykułów osiągniętych z produkcji. Istnieje jeszcze jednak pewna ilość słabych, opóźnionych w rozwoju kołchozów, w których dzień roboczy przynosi 2 — 3kg zboża i 4 — 6 rb. gotówką. Gospodarstwa te podnoszą się jednak szybko przy zwiększonej pomocy ze strony Związku Radzieckiego.

System kolektywnej (zbiorowej) produkcji wymaga kolektywnego zarządu. Najwyższym organem zwierzchnim kołchozu, tym, który prowadzi gospodarstwo i kieruje produkcją, a zarazem sprawuje nieograniczoną władzę nad społecznością kołchozu czyli dobrowolnego zrzeszena chłopów — jest walne zgromadzenie. Obraduje ono nad podstawowymi i najważniejszymi zagadnieniami gospodarczego i kulturalnego życia kołchozu. Walne zgromadzenie wybiera zarząd, przewodniczącego i komisję rewizyjną, którzy są odpowiedzialni przed walnym zgromadzeniem. Zarząd ustala plan produkcji na rok nadchodzący, ustala preliminarz dochodów i wydatków, plan robót budowlanych, planuje prace, zawiera kontrakty ze stacjami maszynowymi i traktorowymi oraz sporządza sprawozdanie roczne i ustala sposób podziału produktów i środków pieniężnych podług dni roboczych itd. Postanowienia walnego zgromadzenia obowiązują wszystkie organa wykonawcze i wszystkich członków kołchozu. Walne zgromadzenie zwoływane jest przynajmniej raz w miesiącu.

Zarząd kołchozu ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za stan pracy w kołchozie, wypełnia postanowienia walnego zgromadzenia i stara się ze wszystkich sił o rozwój całego gospodarstwa.

Przewodniczący kołchozu jest równocześnie prezesem zarządu. Kieruje on stale pracą społeczności i jej brygad, kontroluje wykonywanie zleceń zarządu i zwołuje przynajmniej 2 — 3 razy w miesiącu posiedzenia członków zarządu dla przedyskutowania bieżących spraw i powzięcia decyzji.

Już w pierwszych dniach po zwycięstwie wielkiej socjalistycznej Rewolucji Październikowej władze sowieckie wydały dekret o reformie rolnej. Na mocy tego dekretu własność ziemska obszarników stała się własnością całego narodu. 150 milionów dziesięcin ziemi, należącej do ziemian, państwa i klasztorów zostało oddane na bezpłatne użytkowanie chłopom. Nacjonalizacja ziemi odegrała istotną rolę w walce o socjalistyczne przemiany gospodarki rolnej w ZSRR.

Po wydaniu tego dekretu przez władze Związku Radzieckiego, 9 lutego 1918 r. rozpoczęło się organizowanie sowchozów na wsi. Powstały one prawie bez wyjątku na miejscu dawnych dóbr obszarników i objęły w końcu 1918 r. łącznie 7,5 proc. tych dóbr. Sowchozy wytwarzały produkty rolne dla państwa, ale znaczenie ich polegało nie tylko na tym. Przychodziły one z wydatną pomocą chłopom w postaci maszyn, ziarna, bydła i sił fachowych. Służyły one za wzór wielkiego rolnego gospodarstwa dla okolicznych włościan. Sowchozy wskazywały chłopom korzyści wynikające ze zbiorowej pracy i dużej produkcji.

Już w pierwszych latach panowania ustroju socjalistycznego obok sowchozów i na ich bazie powstawały też kołchozy. Była to najcięższa aż do 1929/30 r. forma łączenia się w celu wspólnego gospodarowania. W r. 1927 było w ZSRR 1407 kołchozów. Łączna powierzchnia obszarów ornych sowchozów i kołchozów wynosiła wówczas 1,7 proc. całej powierzchni ornej kraju.

W grudniu 1927 r., gdy osiągnięto bogate doświadczenia w socjalistycznej budowie gospodarki rolnej i gdy przemysł socjalistyczny doszedł do znacznych osiągnięć pozwalających za zaopatrzenie rolnictwa w najnowocześniejsze techniczne środki pomocnicze, w maszyny rolnicze, powzięto na XV zjeździe WKP (b) uchwałę wszechstronnego rozwoju kolektywizacji w rolnictwie. W przeciągu pierwszej pięciolatki (1928—1932) gwałtownie wzrosła liczba sowchozów i kołchozów.

Począwszy od 1928 r. powstały nowe kołchozy na ziemiach przeważnie dotąd jeszcze nieuprawionych, w Środkowej Azji, Syberii i na obszarach leżących po tamtej stronie Wołgi. Obok stacji maszynowych i traktorowych sowchozy grały zasadniczą rolę w powstawaniu kołchozów. W latach 1929/30 chłopi przychodzili masowo do sowchozów i do stacji maszynowych i traktorowych. Obserwowali pracę traktorów, kosiarek i zapał ich wyrażał się w jednomyślnym postanowieniu przystępowania do kołchozów. Z końcem 1932 r. powstało już 211.100 kołchozów, które zjednoczyły 14,9 milionów gospodarstw chłopskich o 77 proc. łącznej powierzchni rolnej. W r. 1932 powierzchnia orna sowchozów wzrosła do 13,4 milionów ha. W okresie rozwijania się kolektywizacji powstawały kołchozy już całkowicie na bazie uspołecznienia gospodarki.

Pod koniec drugiej pięcolatki (1937) było w ZSRR około 4.000 sowchozów o łącznej pow. ornej 51,1 mlionów ha. W owym czasie kołchozy i sowchozy rozporządzały 421,9 milionami ha.

W 1940 roku, gdy nastąpiło całkowite socjalistyczne przekształcenie rolnictwa w Związku Radzieckim, było w kraju ponad 250.000 kołchozów, około 5.000 sowchozów i ponad 7.000 stacji maszynowych i traktorowych.

Obecnie po wojnie socjalistyczna gospodarka rolna stoi wobec zadania podniesienia w nadchodzących latach rentowności produkcji surowców i produktów rolnych do takiej wysokości, aby osiągnąć nadmiar, a tym samym stworzyć podstawę do stopniowego przejścia od socjalizmu do komunizmu. Ważne to zadanie osiągnięte będzie przy pomocy daleko posuniętej mechanizacji, przez wszechstronny rozwój i ugruntowanie kołchozów, rozwój i umocnienie ich społecznej własności, przez organizacyjne i ekonomiczne wzmocnienie sowchozów, stacji maszynowych i traktorowych i kołchozów. Wzrastająca mechanizacja pracy w kołchozach przyśpieszy równocześnie proces przekształcania pracy rolniczej na rodzaj pracy przemysłowej i pomoże w ten sposób wyrównać różnice pomiędzy miastem i wsią.

Dalsze ugruntowanie społecznej własności kołchozów przy równorzędnym rozszerzeniu zasadniczej roli socjalistycznej własności państwowej doprowadzi do przejścia każdej z tych form w jedną, wspólne dobro na celu mającą, komunistyczną formę własności. W ustroju komunistycznym nie ma dwóch form własności; istnieje już tylko jedna — forma własności komunistycznej.

W ustroju komunistycznym kołchozy przekształcą się w formę komuny. Komuna powstanie na podstawie wysoko rozwiniętej techniki i nadprodukcji. W ustroju komunistycznym nie będzie prywatnych pomocniczych gospodarstw chłopskich, ponieważ będą zbyteczne. Cała ludność będzie mogła zaspokoić swe wszelkie potrzeby przy pomocy wysoko rozwiniętej gospodarki społecznej komuny.

Tłumaczył E. Ney.

Konstanty Grzybowski

GENEALOGIA ZDRADY

„...wyzysk coraz większej liczby małych albo słabych narodów przez garstkę najbogatszych albo najsilniejszych narodów" (Lenin: Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu str. 124).

W miarę postępów imperializmu znika dla małych narodów możność nie tylko gospodarczej, ale i politycznej suwerenności — przy zachowaniu w nich ustroju kapitalistycznego. W miarę postępów imperializmu metody podporządkowania sobie małych narodów przez wielkie narody ulegają zacstrzeniu, wyjaskrawieniu — i zawierają coraz więcej objawów „gnicia": w miejsce przede wszystkim gospodarczych metod opanowania małego narodu mamy coraz wyraźniej — metody polityczne. w miejsce zawoalowania, ukrycia form opanowania — mamy coraz większą jawność tych metod, w miejsce trzymania się przynajmniej form prawnych mamy — obok jawnego lekceważenia prawa — coraz więcej metod bezprawnych, zarówno w postaci otwartego gwałtu, jak i w postaci zakonspirowanej szpiegowskiej „inspiracji".

Mały naród nie może w okresie imperializmu utrzymać niepodległości a równocześnie pozostać przy ustroju kapitalistycznym. A dziś wiemy; że Polska lat 1918 — 1939 nie była ani narodem wielkim, ani państwem wielkim. „Mocarstwowość" ujawniła się w czasie procesu Doboszyńskiego jako mistyfikacja, mająca ukryć zależność od wielkich tego świata.

* * *

„Widzimy trzy obrazy z wysoko rozwiniętym kapitalizmem. Wśród nich trzy panujące nad światem państwa: Niemcy, Anglia, Stany Zjednoczone" (Lenin: Imperializm str. 96).

Z punktu widzenia sytuacji Polski w międzywojennym dwudziestoleciu nic nie można do tych słów dodać. Słabe i małe państwo kapitalistyczne sąsiadowało tylko z jednym wielkim państwem z wysoko rozwiniętym kapitalizmem, z Niemcami. Jak długo było kapitalistycznym, leżało w naturalnej strefie wpływów Niemiec. I to Niemiec wypartych z terenów kolonialnych, z terenów małoazjatyckich, a więc Niemiec, których cały imperializm musiał (znowu jak długo Niemcy były kapitalistyczne) kierować się ku swym wschodnim i południowo-wschodnim sąsiadom. I z tego punktu widzenia jest znowu mistyfikacją spór między „orientacją zachodnią" a „orientacją centralną" — bo punktem wyjścia obu było stawianie na związanie Polski z państwami kapitalistycznymi, a konsekwencją tego stanowiska musiało być uzależnianie Polski od jedynego jej terytorialnie bliskiego wielkiego kapitalistycznego państwa. Jeśli z punktu widzenia imperialistycznej moralności istnieją różnice między płatnym agentem niemieckim z jednej strony a „ideowym" faszystą — czy imperialistą wierzącym w „misję dziejową" Polski na wschodzie — to z punktu widzenia moralności społecznej i z punktu widzenia politycznych skutków działalności te różnice są raczej płynne, granice między tymi typami mentalności są raczej niewyraźne. Proces Doboszyńskiego odsłonił i to zjawisko.

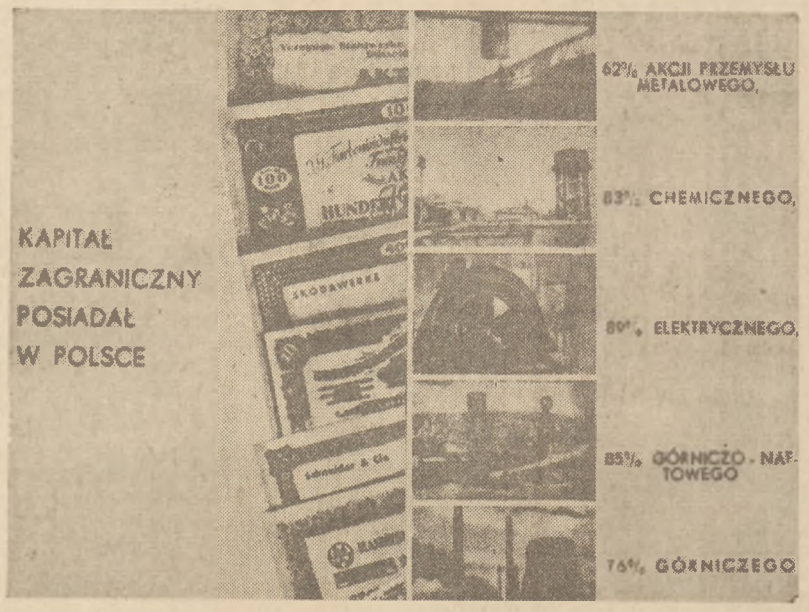

* * *

„...na pasożytnictwie i gniciu kapitalizmu, które są właściwe jego najwyższemu stadium historycznemu, czyli imperializmowi." (Lenin: Imperializm str. 12).

Gnicie jakiegoś systemu gospodarczego musi rodzić zgniliznę związanych z nim klas społecznych. Marks określał lumpenproletariat jako „bierny wytwór gnicia najniższych warstw starego społeczeństwa". Ale w końcowej fazie kapitalizmu gniją klasy przodujące w kapitalizmie i zarażane przez nie klasy pośrednie. Ale nie są one „bierne", przeciwnie — w obliczu końca ujawnia się ich gorączkowa, histeryczna — i właśnie mająca wszelkie cechy „gnicia" działalność. I tu mamy podłoże klasowej analizy sprawy Doboszyńskiego.

Umiejscawiając Doboszyńskiego klasowo mówiło się „ziemianin", szukając nadbudowy ideologicznej dla tej sytuacji klasowej mówiło się „Roman Dmowski". I jedno, i drugie trafnie, i jedno i drugie niewystarczająco.

Ziemianin, ale drobny ziemianin. Gdyby Chorowice Doboszyńskiego leżały o 20 km dalej na zachód znalazłyby się w okresie okupacji w „Reichu" i nie podlegałyby reformie rolnej — miały mniej niż 100 ha, a gdyby się znajdowały w Niemczech, ich właściciel uchodziłby za „grossbauera". To nasza „demokracja szlachecka" pozostawiła nam ten typ gospodarstwa, które nie jest, z gospodarczego punktu widzenia, wielkim majątkiem rolnym, a nie chce się uważać z socjalno-politycznego punktu widzenia za gospodarstwo „kułackie". Właściciel wielkiego latyfundium rolnego, czy właściciel dużego folwarku przeszedł już całkiem na metody kapitalistycznego gospodarowania, korzystał (jeszcze) ze skutków kapitalistycznej koncentracji produkcji, nie groziły mu (jeszcze) niebezpieczeństwa monopolizacji produkcji na odcinku rolnym. Był — z politycznego punktu widzenia — agentem i podporą obcego imperializmu w sposób jawny i intratniejszy: udziały w przedsiębiorstwach o obcym kapitale, rady nadzorcze. Właściciel drobnego folwarczku nie wytrzymywał konkurencji z gospodarstwem wielkofolwarcznym. Nie wytrzymywał także konkurencji z gospodarstwem „kułackim" — nie pozwalała mu na to jego, o tyle wyższa od chłopskiej, stopa życiowa, żył nad stan. Był, gospodarczo, produktem gnicia kapitalizmu rolnego w Polsce. I znajdzie to wyraz w jego nadbudowie ideologicznej, to będą podpory ONR potem NSZ.

Tak samo wymaga korektury nazwisko mające reprezentować tę nadbudowę ideologiczną. Doboszyński, choć był (obok sprytniejszego a głupszego Bieleckiego) jednym z dwóch kandydatów na następcę Dmowskiego, nie wzrastał pod jego wpływem. To była specyficzna krakowska szkoła kołtuńsko-małomiasteczkowego, gnijącego faszyzmu, którego prorokami byli Kazimierz Marian Morawski i Karol Hubert Rostworowski, dwaj mistrzowie i nauczyciele także i Doboszyńskiego. Pierwszy z nich — bardzo nieudany intelektualnie syn wielkiego uczonego, od którego Doboszyński przejął „mit masoński". I drugi, autor niechlujnie po polsku pisanych sztuk o doskonałych sytuacjach scenicznych i doskonałych rolach dla Solskiego, po którym Doboszyński przejął „mit żydowski" i może coś więcej: ten kompleks nienawiści, który tak w całej jego działalności uderza.

Te dwie postaci, Morawski i Rostworowski, wymagają obszerniejszego omówienia, gdy się będzie pisało o prekursorach polskiego faszyzmu. Więcej znane jest stanowisko Rostworowskiego, który odkrył swego „Judasza" jako „symbol małości i zakłamania rewolucji" pod wpływem rewolucji 1905 r., a swego „Antychrysta" pisał pod wpływem powstania krakowskiego z listopada 1923, które ujął jako „żydowską intrygę", który w końcu w trzech ubranych w formę dramatu powieściach detektewistycznych („Niespodzianka", „Przeprowadzka", „U mety") rozprawił się, jak sam pisze, z „apetytami (chłopskimi) rozbudzonymi przez zakłamaną demokrację". Mniej znanym jest wpływ Morawskiego, ale tu tkwi źródło „mitu masońskiego" (będącego u Morawskiego tak już humorystyczną obsesją, że było tego za dużo nawet Władysławowi Konopczyńskiemu). Ci dwaj byli mistrzami politycznymi Doboszyńskiego w jego latach dojrzewania do marszu na Myślenice. I choćby na tle procesu Doboszyńskiego zasługują na przypomnienie — wszak to Karol Hubert Rostworowski był bezpośrednim poprzednikiem Doboszyńskiego jako prezes „Stronnictwa Narodowego" w Krakowie.

Wspólną dla nich jest atmosfera degeneracji, degeneracji gospodarczej, fizycznej, intelektualnej, a proces Doboszyńskiego pokaże, że także u niektórych — moralnej. Gnijąca klasa czuje, że się kończy. Dlatego nienawidzi wszystkiego, co przychodzi po niej — Rostworowski. Dlatego szuka mitycznego winowajcy zła — będą nim masoni, czy Żydzi, czy „żydokomuna" — Rostworowski, Morawski, Doboszyński. Dlatego wita z radością zrodzone w takiej samej atmosferze gnicia „mity" sąsiada — faszyzm i hitleryzm. I dlatego granica między głupotą społeczno-polityczną, obłędem społeczno-politycznym a zdradą była tak płynna, jak to wykazał proces Doboszyńskiego.

* * *

„...spólnota charakteru narodowego na gruncie spólnoty losu..." (Stalin: Marksizm a kwestia narodowa).

Kapitalizm polski międzywojennego dwudziestolecia był najbardziej jaskrawym zaprzeczeniem „spólnoty losu". Spólnota losu wymagała niepodległości. Była tylko jedna droga zdobycia i utrzymania niepodległości: zerwanie ze światem kapitalistycznym, ze światem imperialistycznym, ze światem ucisku narodów małych przez wielkie — a związanie się ze światem socjalistycznym, ze światem samostanowienia narodów i walki z imperializmem. Klasy rządzące dwudziestolecia wybrały drogę inną, drogę swego interesu klasowego i to płytko, powierzchownie ujmowanego interesu klasowego. Antyradzieckie nastawienie polityki polskiej nie uchroniło kapitalistycznej Polski od tego, że stała się ofiarą twórców „paktu antykominternowskiego". Prokapitalistyczne — i proniemieckie — nastawienie polskich kapitalistów nie uchroniło ich od tego, że po zwycięskiej wojnie wyganiał ich precz z ich przedsiębiorstw niemiecki kapitalista.

Na gruzach starego porządku, na gruzach całej polityki dwudziestolecia Polacy „konstytuują się jako naród". Każdy naród ma określoną treść klasową. Proces Doboszyńskiego ujawnił jaskrawie, jaką nie może być treść klasowa narodu polskiego. Dlatego nie był tylko sprawą Doboszyńskiego. I nie był tylko obrachunkiem z przeszłością.

Krystyna Michalik - Nedelković

Rasizm wśród najmłodszych w Ameryce

Jak bardzo zakorzeniony jest rasizm w Ameryce, świadczą sprawozdania wychowawców w Filadelfii ogłoszone przez Biuro Badań Pedagogicznych z początkiem 1949 roku. Niektórzy mianowicie postępowi pedagodzy zatroskani coraz gwałtowniejszymi objawami nienawiści i dyskryminacji rasowej wśród młodzieży amerykańskiej, postanowili drogą odpowiednich testów zbadać nastawienie młodzieży wobec Murzynów lub Żydów. Zaczęto od przedszkoli, w których pokazywano dzieciom obrazki przedstawiające grupkę białych dzieci, bawiących się w piłkę, podczas gdy na uboczu stał murzynek, nie biorący udziału w zabawie, tylko smutno przyglądający się swym białym rówieśnikom. Pokazawszy i objaśniwszy taki obrazek, zapytywano dzieci, dlaczego murzynek nie bierze udziału w zabawie. 43 proc. dzieci amerykańskich (w danym środowisku) w wieku przedszkolnym bez wahania odpowiadało: „dlatego, że jest Murzynem, a z Murzynami nie wolno się bawić". Dzieci z pierwszej klasy szkoły podstawowej odpowiadały na to pytanie podobnie, ale procent tych młodocianych rasistów był już wyższy, bo wynosił 67 proc., podczas gdy starsze dzieci w 75 procentach wykazywały świadomość swej wyższości, jako należących do rasy białej. Swą niechęć do dzieci murzyńskich uzasadniały takimi powiedzeniami jak np. że Murzyni kradną, są brudni, śmierdzą, zabijają białych, oszukują itd.

Skąd nabierają dzieci już w wieku przedszkolnym tych przesądów rasistowskich? Odpowiedź nietrudna. Działalność Komisji do Badania Działalności Antyamerykańskiej, propaganda prasy reakcyjnej, dyskryminacja rasowa Murzynów, szerzona szczególnie w stanach południowych, przez partię republikańską — to zapewne skromny tylko zakres przyczyn, rozpalających histerię rasistowską w Ameryce.

Szkoła, jak widać ze skrupulatnie prowadzonych statystyk, nie tylko nie przeciwdziała tym przesądom, ale je jeszcze wzmacnia, gdyż procent dzieci niechętnie się odnoszących do swych murzyńskich kolegów wzrasta wraz z ich wiekiem. Pewna ilość pedagogów amerykańskich, głęboko przejętych przerażającym objawem szerzenia się przesądów rasistowskich, zakorzenionych u dzieci od niemowlęcego nieledwie wieku, postanowiła tworzyć przedszkola, w których by przeciwdziałano szowinizmowi narodowemu i rasowym uprzedzeniom.

Czy te życzenia nielicznej narazie garstki wychowawców amerykańskich odniosą pożądany skutek, nie wiadomo. Jest ich niestety niewielu, a faszystowska propaganda jest silna. Już w najmłodszych latach wsącza ona jad faszystowski w umysł amerykańskiego dziecka, bezwiednie i nieświadomie. Dobrze w każdym razie, że choć ta garstka pedagogów uświadomiła sobie niebezpieczeństwo rozplenienia się tych chwastów nienawiści rasowej.

Zresztą nie tylko do Murzynów odnosi się ta dyskryminacja i głęboka niechęć obywateli amerykańskich. Te same statystyki mówią także o podobnych odruchach w odniesieniu do Żydów. Widzimy z nich, że antysemityzm jest coraz silniejszym zjawiskiem w Stanach Zjednoczonych, i że początki antysemickich nastrojów również sięgają lat najmłodszych przeciętnego obywatela amerykańskiego.

I to wszystko w kraju, którego „demokratyczna" konstytucja gwarantuje wszelkie swobody wszystkim jego obywatelom, bez względu na kolor skóry, pochodzenie rasowe, czy wyznanie! Widzimy jednak, że między literą konstytucji a życiem codziennym jest wielka przepaść. Z troską należy się spytać, kiedy usiłowania postępowych ludzi zdołają wyrównać tę straszliwą przepaść między człowiekiem czarnym a białym, między Amerykaninem żydowskiego i nieżydowskiego pochodzenia. Obawiać się trzeba, że nie na wiele się zdadzą usiłowania garstki ludzi tzw. dobrej woli. Przemiany muszą przyjść inną drogą, drogą dogłębnych przemian ustrojowych, gdyż ustrój jest tu głównym winowajcą, dopuszczając do szerzenia się tych okrutnych i bezmyślnych przesądów rasistowskich, nie ustępujących wcale temu, czego świadkami byliśmy niedawno w okresie panowania hitleryzmu.

Klemens Oleksik

DYMY

Nic nie ginie w przyrodzie:
będąc dzieckiem — martwiłem się:
kto oczyści zadymione niebo?
Ojciec pracował żeby fabrykant był coraz grubszy
Matka dawała nam czasem na cukierki
(Masz żeby ojciec nie widział)
a były to srebrniki za które sprzedawała zdrowie
Mój Boże mój Boże
westchnąłbym gdybym wierzył w sprawiedliwość niebieską —
teraz już wiem: wiatr rozpędził dymy nad fabryką
i słońce było
tylko długo nie mogłem go dojrzeć.

Edmund Niziurski

NA POLACH ELIZEJSKICH *)

Jeszcze nie zdołaliśmy podsumować krytycznie wszystkich literackich rozrachunków inteligenckich, a już notujemy nową pozycję w kolumnie „winien“. Są to „Pola Elizejskie“ Stanisława Dygata:

Tym razem jednak problem inteligencki rozłożony został szeroko w czasie i obejmuje trzy rzeczywistości: przedwojenną, wojenną i emigracyjną. Obiektyw pisarza przesuwa się szybko po różnych epizodach życia, nie zatrzymując się dłużej na żadnym wydarzeniu. Najdłuższe z opowiadań ma stron 16, najkrótsze niespełna 2. Dygat to lubujący się w krótkim spięciu emocjonalnym zamaskowany liryk.

Lecz za to ileż w tych opowiadaniach skondensowanej treści. Niejedno z nich to śpiesznie notowany scenariusz monumentalnego filmu, propozycja nowoczesnego mitu lub szkic współczesnej Odysei. Dość wymienić „Zygmunta Czerwińskiego“ czy „Żołnierza Anzelma“. Z każdego z nich jakiś nudziarz zeszłowieczny rozwałkowałby solidną powieść.

Postacie Dygata cenią wagę słowa, mówią mało, lecz rzeczowo, nawet jeśli się spowiadają. Sceneria, w której Dygat umieszcza swe postaci, jest zarysowana zwykle szkicowo. Nie ma zbędnych rekwizytów i statystów. Aktorów wystarczy jeden, dwu, jak w klasycznej tragedii, rzadko więcej. Jednego tylko autor nie szczędzi swym bohaterom — masek komicznych i szminki.

W ten sposób osiąga Dygat sztukę wypowiadania się na gorąco, jednym tchem, jak w pośpiesznym reportażu. W doskonałej proporcji do tej formy wypowiedzi pozostaje styl, błyskotliwy, wartki tok narracji, redukujący do minimum opis i komentarz.

Lecz taka improwizacja literacka ma swoje, zapewne nieuniknione, ciemne strony. Jedna z nich to tendencja do uproszczeń.

Dzisiaj, kiedy realizm postuluje wypracowanie typów, łatwo może się zdarzyć, że pisarz nie dość ostro dojrzy różnicę między typem a modelem i idąc po linii najmniejszego oporu zamiast przedstawić typ, naszkicuje schemat. A różnica między nimi — zasadnicza. Osiągnąć w literaturze realizm, to pokazać warunki, które typ kształtują. Jeśli zaś pokażemy postawy gotowe, postaci wyłuskane ze środowiska, niewytłumaczone obiektywnie przebiegiem zdarzeń, lecz takie, jakie zjawiły się już gotowe w naszej wyobraźni, wtedy mamy do czynienia nie z typami, lecz z modelami psychicznymi.

Ludzie z „Pól Elizejskich“ to przeważnie konwencjonalne manekiny, samooskarżające się i komentujące w myśl doktryny, którą wyznaje autor, bezbłędnie pracujące automaty. Żeby sięgnąć po ich społeczną genealogię, po ich paszport życiowy, musimy zamknąć książkę i na własną rękę poszukać ich rodowodów. Wiadomo, że żołnierz od Andersa przesiaduje w „pubie“, pali i pije, pokrzykuje „być, być“ i zastanawia się nad swym losem. Lecz taki schemat już dawno utrwalił się w wyobraźni polskiego czytelnika. Model już znamy, chcielibyśmy raczej zobaczyć tworzący się w naszych oczach typ.

Schematyzowanie uchodzi figurom drugoplanowym, lecz gdy dotyka głównych bohaterów, staje się poważną skazą.

Pisarze-realiści za punkt honoru uważają wyeliminowanie siebie z opisywanej rzeczywistości, tak by czytelnik nie zdołał uchwycić żadnego ich osobistego gestu.

Inaczej Dygat. On sterczy ze swojej rzeczywistości literackiej jak peryskop łodzi podwodnej z morza, o całą długość swojego kapryśnego ja. To inteligent, który na rzeczywistość przywykł patrzeć nieco z góry. Ludzie i sprawy tego świata w ich codziennym wydaniu zdążyły mu się już opatrzeć, więc, żeby znów mogły bawić, gotów każdemu przyprawić śmieszny nos.

Dochodzimy tutaj do podstawowego zagadnienia twórczości Dygata. Do roli, jaką w jego utworach gra humor.

Jak zauważyliśmy, postawa pisarska autora „Jeziora Bodeńskiego“ jest postawą egotyczną.

Niemało mamy przykładów w naszej powojennej literaturze, że na inteligenta rzeczywistość okupacyjna podziałała jak dotkliwy szok, wywołując charakterystyczny kompleks niepełnowartości, nieprzydatności i ułomności inteligenckiej postawy wobec zjawisk otaczającego świata.

W „Polach Elizejskich“ przejawia się jakby brak zufania Dygata do własnego obiektywizmu pisarskiego, paniczny lęk katechumena realizmu przed grzechem wzniosłości i sentymentalizmu, i dlatego podobnie jak mnich dręczony pokusami — miskę święconej wody, Dygat przygotował na swoim warsztacie kubeł żartów i kpin.

Groteska i ironia Dygata to próba obrony przed brutalnym najazdem rzeczywistości, to wieża obronna, z której Dygat rozpatruje otaczający go świat, zabezpieczywszy się wprzód starannie. Jest to próba nie tyle opanowania rzeczywistości, ile jej literackiego zneutralizowania, tak jak klowni cyrkowi unieszkodliwiają rozdrażnione lwy zasłaniając się krzywymi zwierciadłami, gdzie oszołomione zwierzę ujrzy własną śmiesznie zniekształconą podobiznę.

Taka jest funkcjonalna rola groteski i humoru Dygata. Nie jest to „naturalny“ humor realisty starego typu. Dickensa czy Prusa. Humor Dygata jest odtrutką na rzeczywistość, klapą bezpieczeństwa chroniącą obiektywizm przed lirycznym ciśnieniem, buforem łagodzącym zderzenie z rzeczywistością, które nieuchronnie nastąpić musi . I następuje. 29 opowiadań na 200 stronicach „Pól Elizejskich“ to ambitna i ryzykowna próba pokazania możliwie różnych wycinków niedawnej rzeczywistości.

Na płaszczyźnie rzeczywistości przedwojennej zbudowane są takie opowiadania, jak „Krąg istnienia“ i „Wizyta“, które można by zakwalifikować jako obyczajową satyrę na wielkomieszczański światek.

Natomiast takie opowiadania, jak „Jesień“, „Czas przybliża, czas oddala“, „List“, a nawet „Kowalczyk II“ zawieszone są w przestrzennej i czasowej próżni. Całą tę grupę można by nazwać mieszczańskimi spowiedziami, chyba, że znów nie weźmiemy ich zbyt na serio i potraktujemy wyłącznie jako próbę ośmieszenia mieszczańskiej mentalności. Na ten drugi sposób interpretacji wskazywałyby zwłaszcza końcowe ustępy „Jesieni“ i „Listu“.

Otóż przedstawiwszy w „Jesieni“ okaz wykoślawionego fizycznie i psychicznie osobnika Wincentego Pirtułki, który, cierpiąc na kompleks niższości, przez zawiść psuje niską intrygą szczęście szlachetnej i pięknej pary zakochanych, Dygat skazuje go na samobójstwo i zmusza do takiego wyznania: „Stałem nad mostkiem, patrzałem w wodę i postanowiłem utopić się. Ale po chwili odechciało mi się...“

Ostatnie zdanie ośmiesza Pirtułkę, a my jesteśmy zaskoczeni takim rozwiązaniem dramatu. Dla większości czytelników będzie to zakończenie „nieliterackie“, nieuzasadnione zburzenie efektu, nad którym autor pracował od początku. Zlikwidowanie tragedii w momencie kulminacyjnym przez nielicującą z powagą sytuacji groteskę. Czytelnik czuje się oszukany przez autora, wywiedziony w pole rzekomym, jak się okazało, tragizmem sytuacji, wstydzi się wzruszenia, na które sobie pozwolił, podczas gdy dla autora był to tylko pretekst do figla.

Zająłem się bliżej tym fragmentem, gdyż jest on typowy dla tego zjawiska, które Ryszard Matuszewski określa jako metodę artystyczną polegającą na rozbrajaniu atmosfery naładowanej problemem przez nagły zwrot ku grotesce.

Innego rodzaju próbą wydobycia się z bajora mieszczańskiego konwenansu jest opowiadanie pt. „List“. Urzędnik Krupczyński pod wpływem odprężenia, jakie przynosi mu pobyt na wczasach, pisze list do kolegów, gdzie po raz pierwszy dosadnie rzuca im w twarz co o innych myśli. Tuż przed skrzynką pocztową zawaha się jednak, podrze list, by napisać następnie konwencjonalne pozdrowienia, lecz z kolei zniszczy i tę pocztówkę. i dopiero wtedy odzyska równowagę. Mamy tu jakby psychologiczne wychylenia w jedną i drugą stronę z pozycji inteligenckiego bezruchu, lecz Krupczyńskiego nie stać już na urzeczywistnienie swojego buntu, zbyt już ugrzązł w marazmie życiowym.

Opisaliśmy wyżej wypadek kliniczny dość pospolity w naszej powojennej literaturze, który Wyka zakwalifikował jako odruch polegający na inteligenckim nawyku do korygowania wszystkiego, co wydaje się autorowi w życiu niesłuszne.

Odruchem takim obdarza Dygat także „Kowalczyka II“, jedną z nielicznych postaci nieinteligenckich w książce. Jest to młody bokser amator, który w przystępie ataku szczerości pozwolił sobie na krytykę kierownictwa klubu sportowego. W stosunku do tej postaci pozwolił sobie autor na odstępstwo od metody i na zaaplikowanie niestłumionego groteską wzruszenia:

„Kowalczyk II podszedł pode drzwi... zajrzał przez szybę... smuga światła zachodzącego słońca przecinała salę na ukos. Od okna do drabinek. W smudze światła wirował kurz. Chłopcy bezgłośnie, jak w niemym filmie, przerabiali skakankę, walkę z cieniem, pracowali przy worku i gruszce. Jakżeż znajomy pomieszany zapach rękawic i potu. Odwrócił się szybko i odszedł. Szybko szedł ulicą.

— Taki duży, a na ulicy płacze — krzyknął za nim jakiś ulicznik.“

Dygat nie daje społecznej genezy swoich postaci, nie pokazuje determinujących je warunków. A jest to poważny brak. Bo czytelnik dzisiejszy może i powinien zagadnąć autora: to bardzo ładnie, ale dlaczego ci ludzie tak się zachowują i tak działają? Dlaczego Krupczyński nie wysłał żadnego listu, dlaczego Kowalczyk II musi się rozstać z klubem? Czy to było konieczne? Jak pan to tłumaczy?

A jeśli nie zapyta, to jeszcze gorzej dla autora. Oznaczać to będzie wtedy, że neurastenia Krupczyńskiego i poczucie honoru Kowalczyka II tłumaczą dostatecznie ich postępowanie.

Załamanie się groteskowej rzeczywistości przedwojennej w chwili wybuchu wojny odsłoniło w całej pełni beznadziejność społecznego bytu przedwojennego inteligenta. Inteligent, który jak Józio z opowiadania „Szosa Garwolińska“ zdawał się panować nad rzeczywistością, ba, buńczucznie zamykać ją w swym terminarzyku, poczuł się nagle znikomy i zabłąkany wśród nieprzewidzianych wypadków, a w konsekwencji biernie zdawał się na bieg wydarzeń.

Podkład niejako teoretyczny i programowy dla opowiadań opartych o życie okupacyjne dał Dygat w bajkach „Filozof Panteleon“ i „Król“, których pierwowzór znajdziemy chyba w filozoficznych powiastkach Woltera.

Filozof Panteleon, Joaśka i Królewicz symbolizują tu część społeczeństwa, w której wojna wyzwala tłumione instynkty, wywraca pojęcia moralne. Lecz gdy wojna się skończy i odzyskają moc prawa dnia codziennego uosobione w królowej Matyldzie, biada wtedy takim wykolejeńcom jak filozof Panteleon. Nie potrafią przystosować się do nowej rzeczywistości. Ich sytuację wyrażają słowa Królewicza:

„...Uciekajmy... Po tym, co między nami zaszło, boję się bardziej niż śmierci z rąk barbarzyńców powrotu do pałacowych praw dnia codziennego.“

Dalsze zmiany wprowadzone wypadkami wojennymi to pomieszanie stanów, demokratyzacja społeczeństwa, bezpowrotne obalenie dawnego porządku społecznego. Przestają się liczyć dawne autorytety i dawne formy.

W opowiadaniu pt. „Król“ urzędnik poczty pozostawi króla, do którego zbliżył go przypadkowo kataklizm, i pójdzie sobie „zobaczyć, co tam na świecie“.

Tezę o moralności kształtowanej przez byt rozwija dalej Dygat w opowiadaniu „5000 złotych“.

Inteligent oszust tak się tam tłumaczy przed swoją ofiarą:

„Nie jestem oszust z zasady... i oświadczam panu co następuje: panu brakuje do czegoś tych pieniędzy i mnie też! Teraz jest wojna i w ogóle. Gdyby na przykład była łapanka lub coś w tym guście, na pewno nie krępowałbym się, by ratując siebie, stratować na przykład pana. Trzeba walczyć o swoje życie, jak się umie i Bogu dziękować, jeśli się jest silniejszym. Przed wojną tak nie myślałem, ale teraz inna sprawa...“

Gdy jednak okaże się, że nabrany jest ukrywającym się Żydem, zmieni to znów sytuację i owe inne prawa rządzące moralnością czasów okupacji spowodują, że oszust odda poszkodowanemu 5000 złotych ze słowami:

„Masz twojego piętaka. Masz... no i umykaj, żebym cię nie widział. Przed wojną, to stłukłbym ci mordę już choćby za to, że jesteś Żydem... A teraz... teraz... to inna sprawa“.

Niemniej interesująco przedstawia Dygat przekrój tzw. szarego dnia okupacyjnego, gdzie „wszystko jest nieprawdziwe“ wyjąwszy ludzi pod murem straceń.

Słusznie przeprowadza Dygat tezę, że nie obozy, nie walka podziemna kształtowały zasadniczą psychikę obywatela GG, lecz właśnie te nieprawdziwe dni powszednie, codzienne warunki życia.

Groteskowo na tym tle wygląda kwiat inteligencji zebranej na koncercie RGO, usiłujący przez dwie godziny zapomnieć o zmorze okupacji i wytworzyć atmosferę przedwojenną. „Za dwie godziny wrócą na ulicę i pójdą na podnoszenie rąk, oklepywanie. Niektórzy pójdą dalej na rzeczy najgorsze i ostateczne. Ale tymczasem są jak książęta z bajki poprzemieniani w żaby, przez dobrą wróżkę przywróceni na dwie godziny ludzkim postaciom.“

Jak zdążyliśmy zaobserwować, inteligent Dygata ma z reguły złe samopoczucie i brzydzi się własnym środowiskiem. Nudzi się i błąka, kaprysi i dąsa. Lecz sam nie wie, czego mu właściwie brak. Autor również nie stara się tego dostatecznie wyjaśnić.

W społeczeństwie kapitalistycznym inteligencja stoi do dyspozycji klasy posiadającej. Nie będąc klasą, inteligencja nie posiada żadnej własnej ideologii. Jej ideologia to z reguły ideologia klasy, której służy. Tu ma swe źródło zaobserwowany przez Dygata niedowład ideologiczny inteligencji i jej zabłąkanie w rzeczywistości społecznej. Jeśli teraz miraże kapitalistyczne ulegną w czasie wojny rozproszeniu, jeśli ideologiczne frazesy mieszczańskiego świata zdruzgocze brutalna pięść wojny, jeśli prysną szkła, które inteligent nosił na nosie — zaczyna on chodzić po omacku. Błąka się i nudzi w zamkniętym kręgu środowiska, w którego cel i sens społeczny zwątpił.

Jak silny może być wstręt do starego środowiska inteligenckiego, pokazuje Dygat w opowiadaniu pt. „Ucieczka“, gdzie w interpretacji autora emigracja bohatera była nie tyle ucieczką przed warunkami życia okupacyjnego, ile raczej przed własnym środowiskiem, którego beznadziejność ta właśnie okupacja obnażyła. Zauważmy, co ukrywa się w humorystycznym przedstawieniu jako decydującego bodźca do ucieczki — wstrętu przed udzielaniem lekcji angielskiego kabotynowi dr Kowalskiemu. Właśnie to obrzydzenie sobie środowiska, które dr Kopalski symbolizuje.

Kompozycyjnie opowiadanie „Ucieczka“ stanowi przejście od rzeczywistości okupacyjnej do emigracyjnej.

Tu na tle panoramy kasyn, kawiarni, hotelów, paryskiego metro i bulwarów snuje dalej Dygat mit o zabłąkanym inteligencie, którego smutnym streszczeniem jest arcyżałosna odyseja Zygmunta Czerwińskiego.

Ucieczka od własnego środowiska nie rozwiązuje bowiem problemu inteligenta. Inteligent szedł na tułaczkę wojenną, by móc „przeżyć wszystko od nowa inaczej“. Lecz wysuwa się nowe zagadnienie sensu podjętej walki. Czyż bowiem celem ma być tylko wyrzucenie hitlerowców z ulicy Żurawiej, czyli restytuowanie dawnego porządku? Przecież właśnie od takiej rzeczywistości uciekał. Po zakończeniu wojny i ułożeniu się sytuacji politycznej w sposób tak niespodziewany dla wielu, przed każdym stanie pytanie, co z sobą dalej robić. Ta dezorientacja prowadzi do silnej depresji przebijającej w opowiadaniu „Pola Elizejskie“. Oto rozmowa dwu byłych kombatantów:

— Jak się w ogóle czujesz?

— Świetnie. Dwa tygodnie temu po pijanemu przecinałem sobie żyły“.

Zarysowują się dwie postawy uwidocznione w obrazku pt.: „Piechur, lotnik, cywil i dziewczyna z Burmy“. Jedni powrócą do kraju włączyć się w rytm nowej rzeczywistości polskiej, dla innych, wrogów demokracji jak „piechur“ wojna nie jest jeszcze skończona“.

Tymczasem zaś będą zabijać czas spekulacją na czarnym rynku, oszukiwać się majakami o możliwościach hodowli zwierząt futerkowych w Kanadzie i zabawiać znudzone tuziemki, coraz bardziej upodobniając się do cieni z Pól Elizejskich.

*) Stanisław Dygat, „Pola Elizejskie“, Wyd. Awir, Warszawa, 1949.

Tadeusz Kubiak

MIESZCZAŃSKI KONIEC ŚWIATA

Oto zwierzęta wskakują na nasze stoły,
które dotychczas były miejscem świętym.
Apokaliptyczne konie z kopytami.
Z racicami monstrualne krowy.
Oto stół poety shańbiony jak dziewczyna.
Z czystego drzewa, zarzucony papierem,
z różą pośrodku, z różą która więdnie,
która jest uosobieniem smutku
i poetyckiej wizji —
runął pod ciężarem natrętnych ciał.
Nie wytrzymały delikatne nóżki.
Czerwone byki opuściy areny.
Stoją w drzwiach rozwartych wiatrem.
Ptaki przelatują z kąta w kąt.
Prości ludzie karmią konie kwiatami
więdnącej róży ze stołu poety.
Doją krowy łagodne — uwiązane przy ścianie
do gwoździa, na którym jeszcze wczoraj
wisiała Madonna ze szczygiełkiem.
Ich dzieci z gniazd uwitych na prędce pod sufitem
wybierają żółte, ptasie jajka.
Koniec świata, koniec świata —
przepowiadają sobie zrozpaczeni mieszczanie.
Załamuje ręce poeta, któremu śnieżne kozy
ze zwierzecą chciwością ogryzają manuskrypt.
Uciekajmy! — krzyczą biegnąc do drzwi,
by stanąć tam przed rogiem
czerwonego byka.

Wiersze z tomu „Człowiek jest blisko“, który ukaże się nakładem „Książki i Wiedzy“.

Józef Pogan

LUDZIE I LUDZISKA

(Fragmenty powieści)

I

Już ciemnieć poczynało, gdy sołtys, nachylony nad stołem, notował w zamyśleniu jakieś imiona i nazwiska na kartce z zeszytu szkolnego. Podniósł głowę, odwrócił kartkę, bo oto wszedł Nalepa.

— Siadajcie sąsiedzie. Co powiecie?

— A co bym miał pedzieć... Przyszedłem se trochę na rozrywkę. Nie ma wiela kaj wyjść na pogwarki, bo do jednego daleko, drugi znowu, jak na przykład Mordelak, zaharowany wciąż i ani wieczór nie posiedzi, u innego dopierom wczora był i tak dalej. A przecie nie pójde do jakiegoś zagoniarza, czy mietlarza, bo to nie honor. Widzi mi sie, żeś jakiś kwaśny... pewnie coś niedobrygo przeczuwasz...?

— A niech Bóg broni, co ja już mam z tym urzędowaniem — zamachnął ręką sołtys. — Łeb mi puchnie od wszyćkigo... Już dość od ludzi cierpie, a widać jeszcze więcej bede cierpiał.

— Cóż ta znowu sie ściele?

— Co...? — wyjazd na roboty do Niemiec. Na nasze wieś Arbajtsamt wyznaczył trzydzieści osób.

— Których?

— Ogólnie wyznaczono. Ja mam zwołać komitet i ci dopiero będą pojedynczo wyznaczać.

— Hh, hm — chrząknął Nalepa — jużci szkoda każdygo, ale cóż robić? Jak mus — to mus. Jest przecie we wsi trzydzieści takich, co nie mają co robić, ino bąki zbijają... nie pożyteczni ani sobie, ani komu.

— Niby tak. Ino każdymu przecie miłe życie... Nikt nie ma ochoty jechać pod bomby na gulasz. Czy tego się wyznaczy, czy tego — każdy mie bedzie przeklinał i pomstował. A wyznaczyć mus, bo to surowo mam przykazane.

— A no, cóż poradzić na to? Niemcy teraz panami.

Ktoś zapukał.

— Prosze, prosze.

— Dobry wieczór — mruknął spod nosa Pałtas, właściciel skromnego folwarku.

— Dobry wieczór panu, dobry wieczór — witał go sołtys. Dmuchnął całą siłą płuc na blat krzesła i podsunął je do stołu. — Prosze, niech pan usiędzie.

— Chwilkę tylko. Jest co nowego z gminy? bo zdaje się byliście dzisiaj.

— A zła panie nowina — ludzi do Niemiec będą brać — opowiedział po kolei jak Nalepie.

— To jeszcze nie tak tragicznie — mruknął chłodno Pałtas. — Tylu się chyba znajdzie we wsi różnych złodziei, polityków spod ciemnej gwiazdy i różnych mądralów.

— Ja też tak myśle — odezwał się Nalepa — ino według mnie, to należy wyznaczyć tych, co nie chcą ,albo nie mają co robić we wsi.

— Niby dobra rada, tylko płytka w orientacji. I próżniak stanie się pożytecznym sobie i komu, gdy konieczność zmusi do pracy. Tymczasem owi mądrale, ci politycy różnymi absurdami bałamucą społeczeństwo. Oczywiście, nie życzy im się fizycznej zagłady, a raczej duchowej poprawy. Ale jeśli już koniecznie musi się dać ten „kontyngient“ — to w pierwszym rzędzie tych trzeba podać. Na mym miejscu i święty chyba by inaczej nie rozsądził tego.

— Prosze pana, trza pomieszać: troche mądralów, troche próżniaków.

— To zrozumiałe — samych przecież wykolejonych mądrali nie ma tylu.

— Jużci. Do komitetu trza powołać zacnych gospodarzy.

— I rozsądnych. Wy na przykład możecie być.

— I pan tyż.

— Ja się zawczasu zrzekam. Mnie z pewnych względów nie wypada. Sołtys powinien pomyśleć nad odpowiednim wyborem. Tylko nie palnijcie głupstwa, sołtysie.

— E, przecie on nie żadyn komornik, nie mietlarz, żeby źle zrobił dla wsi.

— Ja ta już mam głowe na karku nie ino od parady. Ino tak przeczuwam, że tyn foldojć komyndant poleci swej kochance Gandzie dopilnować tych zapisów.

— Być może. Nic by jednak nie było w tym złego, wszak to nie spisy bydła, zboża itp., gdzie Ganda mogłaby zrobić pewne pociągnięcia na niekorzyść gospodarzy.

— Jużci tak — przyznał Nalepa.

— Nie wiadomo — zaprzeczył sołtys.

Nazajutrz zebrał się u sołtysa ów „licytacyjny“ komitet, jak go wszyscy we wsi nazywali. Przeczucie sołtysa sprawdziło się — Ganda przewodniczyła. Członkami byli: sołtys, młynarz Sarek, Nalepa i Dziobak z należącego do sołectwa przysiółka. Ganda usiadła za stołem przeglądając wykaz mieszkańców wsi. Chłopi tymczasem stanęli pod ścianą i radzili przyciszonym głosem.

— Ja głupi jak tu poradzić — rozłożył ręce sołtys. — Arbajtsamt przeznaczył na nasze wieś za duża osób. Jak tu teraz zrobić, jak postąpić? To sęk, a w sęku dziura. Ludzie się bedą złościć na mnie najgorzej, narzekać, przeklinać mie i pomstować.

— Ja tyż głupi na to — wyrzekł Nalepa widocznie wstydząc się wobec innych utrzymywać poprzednie swoje stanowisko w tej sprawie.

— Ja tyż nic nie poradze — wzruszył ramionami młynarz.

— Trza jakoś radzić — odezwał się Dziobak. — Trza przecie wyznaczyć kogoś.

— Jużci trza.

Usiedli na ławie.

— Więc radźcie, kogo wyznaczyć — zaczęła Ganda.

— Kogo? Ja nie wiem kogo by tu...?—stęknął sołtys.

— Co, nie ma kogo? — zdziwiła się Ganda. — Brakuje we wsi ludzi? Szczerze mówiąc, to przynajmniej sto osób jest tu bez żadnego zajęcia. Mogą jechać do Niemiec, tam będą mieć pracę i chleb.

Spojrzeli sobie po twarzach. Dziobak odezwał się:

— Jeżeli mus zapisać — to trza biednych, bo tak sumienie i sprawiedliwość dyktuje.

— No jużci — dodał Nalepa.

— Trochę i tak — poprawił młynarz.

— Więc radźcie.

— Może tego... eee, jak on się nazywa...?

— Pochwalony Jezus Chrystus — wyrzekł stary Gębel wchodząc nieśmiało.

— Na wieki wieków amyn — odpowiedział mu młynarz. — Pewnieście się znowu ze zięciem poswarzyli i przychodzicie na skarge.

— Nie inaczej się stało — dodał sołtys.

— A jużci, panie sołtysie, chycił mie dziś rano pod gardziel i potrząsnął mną i zaprzysiąg się, że flaki zy mnie wytrzęsie jak dali taki bede — żalił się Gębel, a kiwał się jak pajac, a machał rękami, parskał ślinami, a uderzał się w pierś i przysięgał, że wobec zięcia nic nie zawinił. A jakiż to ja jest, czy złodziej, czy zbój, czy bandyta, czy awanturnik, czy pijak, czy zbereźnik, czy niedobry katolik, czy do kościoła nie chodze, czy sie nie modle, nie spowiadam, czy nie przystępuje do komunii świętej, czy nie pracuje, nie zabiegam o wszyćko, czym nie upracował dla dzieci majątku, czy im nie chce dać jeść, czy im krzywde robie...?

— Skończcie już te bolesną letanije—przerwał żartobliwie młynarz.

Roześmiali się wesoło, a Gębel nie zwracając na to uwagi — ciągnął dalej:

— A jakże mam przestać, a jakże mam skończyć, a jakże sie nie mam żalić, kiej w duszy czuje boleść bez mała taką. jak ta Matka Boska pod krzyżem, ino sołtysie prosze posłuchać, to powiem, o co to dzisiaj rano poszło i sami zauwożycie, że ja mam świętą racyje i zrobicie coś ze zięciem, bo ja już dłużej nie ścierpie, nie zboleje tego, bom ledwie dziś przyszedł z kościoła, bo, niewymawiający, byłem dziś u spowiedzi święty i przyjonem Pana Jezusa, a diabeł już czekał na to, bo chciał piekła w rodzinie i podkusił zięcia do złygo...

— Ale o co wam poszło? — niecierpliwił się sołtys.

— Ano, przychodze z kościoła, a tu moja stara chodzi z płaczym i szuka jajek w szopie. bo kury pogubiły, ale nikaj żadnygo jajka nie znalazła i ja jej kazał szukać w zięciowej szopie i babsko poszło i szuka, i płacz, i żali sie na wnuków, że porwali jajka, bo tak robią i porywają zawdy na papierose, bo to zuchwałe jak i jeich ojciec, a zięć jak usłyszał, tak wypad ozewścieknięty do mojej baby i zaczon ją przezywać brzydko i kląć, i pazyrować, więc ja sie musiał ująć za swoją babą i odcionem sie zięciowi, a on hyc do mnie i łap pod gardziel i dusi, i klnie, że mie musi zakatrupić.

— Jak sie zakończyło, gadajcie?! — zirytował się sołtys.

— A pieronami, a cholerami i przezwiskami na mnie i na tych, co sie modlą i na księży i Bóg wie na kogo jeszcze, żem se jaż uszy zatkał i uciek do chałupy, wzdychnął se do Boga i do wszyćkich świętych, przeżegnał sie krzyżym świętym, upad na kolana przed świętymi obrazkami i rozpłakał się gorzkimi łzami, że to za moje ciężką prace tak na starość mną zięć i wnuki potyrują...

— Psiakrew, już dość! — zaklął sołtys. — Nagderaliście, żeby ani na byczej skórze tego nie spisał! Tam by was wszyćkich uspokoił, ale by trza posłać policjnta Pałkałe, żeby tak wlepił w tyłek zięciowi najmniej dwadzieścia pięć razy, a wam ze sto, to byście się uspokoili!

— A za cóż zaś mnie, panie sołtysie? cheba, że jak Pan Jezus pedział, że niewinny za winnygo, pan za grzyszne sługi...

— Cichojcie, bo mnie już diabli biorą! Wynoście sie!

— Pochwalony Jezus Chrystus — rzucił Gębel krótkie pożegnanie i wyszedł pośpiesznie.

— Faryzeusz — mruknął pogardliwie sołtys.

— Zięć mało lepszy — odrzekł na to młynarz. — A te jego chłystaki zuchwałe jak cholera. Rozpieściło sie to pare lat bez matki i teraz macosze i dziadkom ani na krok nie ustąpią.

— Po ile lat mogą mieć ci chłopcy? — spytała Ganda.

— Jedyn może ze styrnaście, a drugi przeszło pietnaście.

— Więc bierzemy ich pierwszych na listę, kiedy nie mają matki i nie mają z czego żyć. A tym bardziej, że zuchwali. W Niemczech będą mieli pracę, chleb i lepsze wychowanie.

Przejrzała spis mieszkańców wsi, po czym nakreśliła dwa sieroce nazwiska. — Kogo po kolei? — spytała.

— Cheba Bąbasów ze trzech, bo nie mają z czego żyć, a mądrale straszne — przypomniał sołtys. — I politykiery.

— I kogo jeszcze?

— Może Kurzokowygo.

— Dalej.

— Może mądrale Malskiego.

— Na nic, bo on strażak — odrzekł sołtys. — Strażaków zakazano ruszać.

— I jeszcze.

— Parzelkowygo, bo matka wciąż narzyka, że jej bieda.

I tak kolejno „macali“, kto biedniejszy, kto politykuje, kto niepotrzebny na wsi. Zapisali dwadzieścia pięć osób.

— Dość już — oświadczył sołtys. — Nie muszymy zaś tak Niemcom dogodzać — szepnął do Nalepy.

— Jeszcze pięcioro brakuje według nakazu — odezwała się Ganda.

— Wystarczy tyla. Niech no ci pojadą, to bedzie dość — poparł sołtysa młynarz.

— A pojadą to! Ucieknie wszyćko w las. Ale choć my bydemy w porządku, bo my spełnili nakaz.

— Jużci, jużci... A ludzie niech ta już robią co chcą... niech se głowy urywają — szeptali do siebie gospodarze opuszczając mieszkanie sołtysa.

II

Rano w chacie Bąbasów było smutno. Jeden chłopak płakał, drugi zgrzytał zębami i klął.

— Psiakrew! już nie ścierpie dłużej tymu skurczybykowi. Pojde do niego, powiem mu po dobroci, żeby postarał się o zwolnienie matki! A jak nie — pieron go strzeli na miejscu w samo serce!

— Dej spokój — łagodził go brat. — Matka chorowita, to ją może puszczą. Narobisz awantury z nim i jeszcze co gorszygo na nas spadnie.

— Co gorszygo może spaść?. Dwóch nas ino jeszcze zostało z całej rodziny...! Jeszcze trza gorzej...? Przed wojną zaczyni nas mordować, a teraz dokończają... Matka sie tam dotrąci na posterunku w piwnicy, bo ją bedą trzymać, żeby my sie za nią wstawili. Psiakrew! Nie ma życia i nie bedzie! Ale zaczym nas diabli wezną do reszty — pierw tego skurczybyka zgładze! Już mi wszyćko jedno! Albo postara sie o zwolnienie matki, albo trrrup! mogiła!

Wyszedł na drogę. Zgrzytał zębami, zacinał wargi, źrenice na zaczerwienionych od bezsenności białkach świeciły dziko. Przemierzał drogę przed dom sołtysa i z powrotem. Czasem zagwizdał żałosną melodię.

Może przez pół godziny nie dostrzegał nigdzie sołtysa. Wrócił do domu, posiedział chwilę i znów wyszedł. Brat nie mógł go uspokoić.

Sołtys otworzył furtkę i zawrócił na drogę. Postąpił kilka kroków i stanął. Bąbas szedł szybko ku niemu.

— Kaj moja matka? — spytał głosem, w którym brzmiała nuta bólu i wściekłości zarazem.

— Cóż się tak głupio pytasz, kiebym ja był stróżym twojej matki? — otwarł gębę sołtys. — W maślance się utopiła, wiesz!

— Wróci zaraz matka, czy nie?! — spytał ostro i wyzywająco.

— Idź sie spytaj w Arbajtsamcie.

— Arbajtsamt to był po nią, ino wy?!

— Co chcesz ody mnie?! Ja ci matke zabrał...? A powieścież mie wszyscy.

— Pieron cie strzeli jak mi matki nie wrócisz!

— Kogo?! Mnie?! Za co??! Uważaj, żebyś nie poszedł za matką!

— Uważaj, żebyś utrzymał łeb na tym tłustym karku!

— Wynocha stąd, bo źle bedzie z tobą!

Bąbas skoczył do niego. A zgrzytał zębami i trząsł się jak w febrze. — Choleraaa! jasny pieron cie strzeli.

Sołtys skoczył za furtkę. Bąbas zatrzymał się. Stał na drodze rozwścieczony, machał pięścią, tupał nogami i klął:

— Jak tu stoje! jakem żyw nie podaruje ci! Nie chodzi mi o życie...! niech mie raz pieron strzeli na tym świecie, ale ciebie naucze! Wy cholerne Łupiki, chcecie nas już wymęczyć! Przez was zabili nam ojca, a teraz jeszcze matka was mierzi Na waszym chlebie sie chowa, co?! Zabrali nam już trzech bratów i jeszcze mało?! A weźcież całą naszą rodzine potopcie, albo każcie wystrzylać! Niech mie krew zaleje! niech sie stanie ze mną co chce! — nie daruje ci tego jak mi matka nie wróci! Popamiętacie Łupiki, czym Bąbas pachnie!

— A g..... pachniesz, wiesz! Ty mie popamiętasz za napad! Przyźryjcie sie ludzie, kamienia na mnie porwał! — zwracał się do zbiegających się już sąsiadów. — Tyn zbój tu przypad bić mie! na mnie sie rzucać Ty s..... synie! ja cie naucze! ja cie wyrychtuje!

— Jużeś całą nasze rodzine wyrychtował, a teraz ja cie wyrychtuje! Jak tu stoje! — nie bedziesz chodził po świecie!

— Nasłuchajcie sie ludzie, zabójstwym mi odgraża! Może chałupe mi spalisz, co?!

— Podpalałbyś, zabijałbyś! żeby ci sie ino dało — wtórowała stara Łupikowa. — Zabiliście Kurczka! spaliliście Kurzokowi stodołe! Spalacze! zbóje! bandyty! Ale teraz nie to co przed wojną! Nie bedziecie spalać i zabijać!

— A nuże kamieniem w morde te wojenną wielkość — padł głos z grupy chłopaków.

„Zatrzepało“ sołtysem, rozdąsał się, rozdarł gardło na całą parę.

— Cholera! co ci ludzie chcą ode mnie?! Wszyscy wrą na mnie, kieby ja wydał wojne na świecie! Gospodarzom krzywduje sie dawać kontyngienty! jeździć na podwody! dziadom znowu sie krzywduje jechać do Niemiec! Czy to ja sam za całą wieś bede dawał kontyngienty, albo do Niemiec za wszyćkich pojade?! Do pieronaaa!! ludzieee! co wy chcecie ode mnie?! A ty zbóju! spolaczu! — wygrażał Bombasowi — pożałujesz! pożałujesz! Choćbyś do ziemi sie wrył jak tyn kret — nie ujdziesz! Jak Boga kocham! jakem katolik! — nie daruje ci! nie daruje! Ludzie upamiętajcie sie, bo wiecie co teraz jest. Siedźcie cicho, nie słuchajcie buntowników!

— Znajdzie sie lykarstwo na buntowników! znajdzie! znajdzie — sekundowała Łupikowa. —Są tu jeszcze inni buntownicy! Tyn Pszczółka bezbożnik, duża dowodzi we wsi! Tyle ino, co nie zabija i nie podpala, ale zaburzynia robi!

— I on dziad ma czas jak sie nie poprawi! nie przestanie pyskować! Z litości, że to ma starą i chorą matke na utrzymaniu, ochylało go sie dotychczas! Jak sie nie poprawi, to jeszcze popłacze nad swoją głupotą! Cholerny dziad! nie pomyśli se, że teraz należy trzymać krótko pysk, ino mu politykowanie w łebie szumi!!! jakiesik ideologie!!!

Pszczółka stał opodal wsparty o płot. Już wpierw drażniły go krzyki Łupików, a teraz przeszyły go na wylot.

— Nie ścierpie już... wyrąbie mu kazanie... — wyrzekł do któregoś z chłopaków — Tylko nie ujmujcie sie za mną... nie narażajcie sie, choćby mie nawet bił.

Postąpił kilka kroków i zapytał nerwowo:

— Sołtysie, co wam te dziady i ja tak bardzo zaskórzyli?

Sołtys wywalił oczy i podniósł pięść: — I tyś sie przyplątał na dodatek! Won mi z oczów, nie napastuj mie!

— Jak to w czym zaskórzył! — ruszyła językiem Łupikowa. — A socjalizmym! komunizmym! bezbożnictwym, buntowanim ludzi! Małoś lepszy od tych zbójów!

— Wy dranie! faryzeusze! świętoszki obrzydłe! — wrzasnął Pszczółka. — Przed wojną trzęśliście wsią i teraz też! Zawsze z kimś trzymacie przeciw biedocie, aby tylko z tego mieć korzyść! Niemców nienawidzicie, a z okrutnikiem komendantem trzymacie sie za ręce! Wydoiliście Żydów, doicie gospodarzy! biedakami po prostu orzecie! Dom sobie z ludzkiej krzywdy wybudowaliście! Ale pamiętajcie, że wnet i okrutnych Niemców pieron strzeli i Sobaka, i Gandę, i was, i wszystkich szwabskich lizoniów!

— Wieszać sie bedzie tych skurczybyków! — wrzasnął Bąbas.

— Ła! ła! ła! ła! ła! ła! łać — wtórowała Łupikowa zagłuszając tamtych.

— Was pieron strzeli!! bezbożniki! komunisty! — krzyknął ochryple szewc.

— Kto doi Żydów?! — rozdarł gardło sołtys. — Żeby cie tak nagła krew za to zalała! Może i ja tyż ich oskarżył i podzielił sie jeich majątkiem?! — jak wszyscy pyskujecie! Zrobili Niemcy rewizje w mieszkaniu parcha Lisa w Krakowie i tu w trop za nim przyjechali! Żal ci pewnie tego parcha, co?!

— Ssałeś Żydów, rozdęta pijawko! Ssiesz gospodarzy! Z biedoty krew i pot wyciskasz!

— Rany Boskie... ale mu rąbie prawde w ślypia... nic sie nie boi... — szeptali stojący wokoło ludzie.

Wtem nadbiegł brat szewca. Sołtys nabrał odwagi i jak rozjuszony byk rzucił się na Pszczółkę miotając ciosy obiema pięściami. Pszczółka kropnął go na odlew i za gardziel ułapił. Szewc skoczył z raszplą w ręku. Bąbas ułapił go lewą ręką za przegub, a prawą trzasnął w policzek. Brat szewca rzucił mu się na ratunek. Łupikowa i dzieci sołtysa wrzeszczały „kieby ik ze skór łupił“. Obie pary (z doczepką brata szewca) charczały i tłamsiły się jak psy. Tłukli Bąbasa zażarcie, że nie mógł ich pokonać. Runęli „kupą mięsa“ na ziemię. Tamci trzymali się wzajemnie za gardziele, dusili się i trzaskali. Sołtys walił po pysku, Pszczółka z wierzchu przez łeb. Przywarli się do płotu, aż kołki trzasnęły. Przewalili się na sad.

Znów nadbiegł drugi Bąbas.

— Porozrywać ich, bo się pozabijają!—krzyknął ktoś wśród zbiegowiska.

Może sześciu, czy siedmiu chłopów rzuciło się między zapaśników. Z trudem porozdzielali ich i poodpychali od siebie. Bąbas i sołtys szarpali się okropnie, po prostu szaleli z zapalczywości. Sołtys dyszał, parskał pianami, machał rękami, niczym gęsior skrzydłami. Bąbas szarpnął kołek z płotu i z sykiem: „zaślaktuje go“ — rzucał się jak opętany. Szewc charczał, tupał nogami, aż go „zakrztusiło“. Pszczółka stał jak zaklęty trzymając w pogotowiu drżącą pięść. A Łupikowa klekotała siarczyście niczym praczki nad strumykiem.

Chłopi nie dopuścili zapaśników do ponownej bójki. Rozpychali ich i łagodzili jak mogli. Udobruchali się jakoś. Sołtys jeszcze parskał pianami, uderzał się w pierś i przysięgał:

— Przyobleke sie teraz w inną skóre...! zastosuje rygor!!! Poznacie mnie zbóje...! poznacie! poznacie!

Po drodze, po sadach ludzie szeptali se po cichu:

— Znaleźli się przecie odważni, co sie nie lękają sołtysa... Pszczółka mu wyrąbał, że hej. Niech mu Pan Bóg da za to zdrowie, bo dodał całej wsi odwagi... uniżył sołtysa. Byłoby tyż co wołać na tego drania, było, żeby sie tak człowiek nie bał. Ale cóż, kiej on teraz panym we wsi... Woła, że on nie bedzie za całą wieś oddawał kontyngientu... Przecie z kontyngientów to on sie bogaci... Ma on tyż teraz żniwa, ma. Gospodarze dają mu łapówki, biedni robią za darmo, a on ino źre dobrze, pije gorzałe i ryczy na ludzi jak wół...

Władysław Borkowski

(Artykuł dyskusyjny)

O zagadnieniach teatru świetlicowego *)

Z początkiem lipca odbyła się w Łodzi z inicjatywy Zarządu Głównego Związku Zawodowego Włókniarzy ciekawa dyskusja poświęcona zagadnieniom repertuaru świetlicowego. W tygodniku „Wieś“ ukazał się artykuł dyskusyjny o amatorskim teatrze robotniczym. „Kuźnica“ i „Odrodzenie“, jak również krakowski „Dziennik Literacki“, zamieściły szereg notatek lub artykułów sprawozdawczych o imprezach zespołów świetlicowych. Poprzednio, w numerze czerwcowym „Nowych dróg“ — organie KC PZPR ukazał się dłuższy artykuł pióra Marii Czanerle o teatrze amatorskim i jego roli w radzieckiej twórczości kulturalnej.

Tym samym przełamano obojętny dotychczas stosunek naszych oświatowców do spraw repertuaru świetlicowego, a przede wszystkim do samego zagadnienia teatru świetlicowego.

Pierwsze półrocze roku bieżącego obok pocieszających niewątpliwych osiągnięć poszczególnych scen świetlicowych przyniosło nam również wiele wiadomości smutnych. Tak na przykład, w Łodzi wybudowaną przez Okręgową Radę Związków Zawodowych scenę z piękną widownią w domu Związków Zawodowych uznano za małą scenkę, nie posiadającą żadnych urządzeń teatralnych — więc za nie nadającą się do celów teatru świetlicowego. Nie stanęło to na przeszkodzie w aklimatyzowaniu się w tej samej sali i na tej samej scenie zawodowego teatru „Melodram“!

We Wrocławiu zlikwidowano jednym pociągnięciem pióra doskonale zapowiadającą się „Operę robotniczą“. W Łodzi zabroniono jednemu z zespołów świetlicowych wystawienia sztuki Gorkiego „Na dnie“. Decyzja zapadła po interwencji dyrektora TWP w Łodzi, który, jak to podał „Dziennik Łódzki“, sam przygotował się do wystawienia tej sztuki. Zespół tramwajarzy, jeden z najlepszych w Polsce, na czele którego stał jeden z najstarszych reżyserów, uczeń wielkiego Stanisławskiego — rozpadł się.

Faktów tego rodzaju można by zresztą przytoczyć znacznie więcej. Po nich w środowisku świetlicowym pozostał niesmak i zgrzyt. Popełnionych na tym odcinku błędów nie poprawiono. Na wiele udanych prób teatru świetlicowego w zakresie przyswojenia tak zwanego repertuaru wielkiego odpowiednie czynniki kierujące polityką świetlicową nie zwróciły uwagi. Natomiast szersza publiczność zareagowała na nie bardzo żywo dowodząc tym samym konieczności popierania żywotnych placówek teatru upowszechnionego.

Z tym upowszechnieniem nie mieliśmy łatwego startu. Brak zrozumienia ze strony czynników — zdawałoby się — do współpracy z teatrem świetlicowym powołanych zawsze utrudniał akcję umasowienia. Może właśnie dlatego mało kto wie o tym gigantycznym wysiłku woli i pracy, dzięki któremu udało się dokonać w przeciągu zaledwie lat czterech wielkiego dzieła stworzenia podwalin pod upowszechnioną scenę ludową. Dzięki szeroko rozbudowanej sieci scen świetlicowych stworzono potężny czynnik wychowania społecznego o znacznym zasięgu działania, zasięgu, o którym nigdy nie śniło się teatrowi zawodowemu. Tym samym już na pierwszym etapie wielkiej ofensywy kulturalnej obok podjęcia walki z analfabetyzmem, obok akcji popularyzacji książki i prasy, również na odcinku upowszechnienia sztuki (przez duże „S“), — ruszono do natarcia. O tych rzeczach nie zawsze pisze się w prasie, repertuaru świetlicowego nie reklamuje się przecież w ogłoszeniach zamieszczanych na łamach dzienników. Na ulicach nie spotkamy afisza teatru świetlicowego.

*) Patrz „Wieś“ nr 28: Paulina Czyżowa — Amatorski teatr robotniczy.

Zespół świetlicowy PZPB Nr 4 (Lubań)

Z ukrycia działa natomiast szeroko zakrojona, nie zawsze być może świadoma swych czynów akcja zwalczania najzdrowszych tendencji rozwojowych teatru świetlicowego. Mówi się więc szeroko o tym, że świetlica nie powinna sięgać po „święty“ repertuar teatru zawodowego, że świetlica nie powinna „dublować“ teatru „prawdziwego“.

O skutek w tych warunkach nie było trudno. O nim powiedzieliśmy już wyżej. Zlikwidowana opera we Wrocławiu, smutne dzieje „Powodzi“ na jednej z łódzkich scen świetlicowych, bolesne skrzywdzenie zespołu tramwajarzy łódzkich M.Z.K., sprawa „Na dnie“, „Moralności pani Dulskiej“ itd. itd.

*

Rozmawiałem wczoraj z pewnym kierownikiem świetlicy. Był trochę zdenerwowany. Opowiedział mi o niezbyt łaskawym traktowaniu poziomu zespołów świetlicowych i publiczności teatrów świetlicowych przez „AGTIF“. Jest to taka agencja teatralna i filmowa. Otóż z okazji 150 rocznicy Puszkinowskiej wydano dla świetlic jako program nr 5 montaż literacki o Puszkinie. (Podobnie był przedtem jeszcze montaż tego samego typu o Mickiewiczu). Jest to dość osobliwy rodzaj, jeśli można powiedzieć — „twórczości“ przeznaczonej dla świetlic polskich. Gdy kierownik świetlicy przeczytał scenariusz montażu zespołowi, zespół zrzekł się przystąpienia do prób.

Oto początek montażu (dosłownie).

JANEK: Przerwa, Kasiu. Wychodzę na dwór.

KASIA: Zaczekaj chwilę. Nie wiesz czasem jaką uroczystość mamy jutro w świetlicy?

JANEK: Jakąś rocznicę Puszkina... zdaje się 150-lecie urodzin.

KASIA: A co ty wiesz o Puszkinie?

JANEK: A to że był rosyjskim poetą.

KASIA: Iii. To i ja wiem ale chciałabym usłyszeć coś więcej.

JANEK: Zapytamy któregoś ZMP-owca.

KASIA: Najlepiej Stacha.

JANEK (woła w głąb sceny): Stachu, chodź-no do nas. (Na scenę wchodzi Stach).

JANEK: Powiedz nam coś o Puszkinie i jutrzejszej uroczystości, bo my nie wiele wiemy...

STACH: Chyba żartujecie...

Przytoczyłem wyżej urywek wzięty z początkowej sceny „montażu“ na chybił trafił. W tym samym stylu utrzymany jest on od początku do końca. Tekst podobnych popisów montażowych pewnych autorów świadczy przede wszystkim o całkowitym niezrozumieniu środowiska świetlicowego, o całkowitej ignorancji autorów montażu w sprawach życia świetlicy, życia i składu zespołu świetlicowego.

Kalisz — świetlica bielarni

Bajeczki dla miłych dzieciaków opowiadane przez różnych Janków i Kasie trzeba zostawiać na progu świetlicy. Świetlica nie potrzebuje ani szmiry zrobionej „pod poziom“, ani żadnych „sztuk“ obliczonych na poziom normalnego kretyna.

Montaż sceniczny na scenie świetlicowej— to bardzo odpowiedzialna forma sztuki teatralnej. Droga montażu scenicznego nie prowadzi również przez żaden „kram z piosenkami“, jakby barwnie, jakby wzrokowo pięknie nie był on pomyślany.

Mam tu na myśli inny rodzaj montażu świetlicowego, propagowany tym razem ze sceny TWP w Łodzi. Dyrektor Leon Schiller handluje swymi piosenkami z kierowniczką świetlicy, zachwalając do użytku na scenie świetlicowej swój „wyborowy“ towar. Marian Piechal dowcipnie odpowiedział Schillerowi w swej recenzji, jedynej jaka się o „Kramie z piosenkami“ ukazała: „jeżeli to mają być przykładowe wzorce w świetlicach młodzieżowych i fabrycznych — to nie chciałbym brać odpowiedzialności za atmosferę moralno-obyczajową tych świetlic w najbliższym czasie“.

Montaż świetlicowy — to najodpowiedzialniejsza być może forma inscenizacyjna, forma o głębszej treści społecznej.

Janek i Kasia z montażu ku czci Puszkina kropka w kropkę przypominają postaci konferansjerów z schillerowskiego „Kramu z piosenkami“.

Nie tędy jednak, zdaje się, prowadzi droga do upowszechnienia kultury i wprowadzenia elementu demokracji na deski sceniczne.

Moja sąsiadka (świetliczanka) powiedziała podczas premiery „Kramu z piosenkami“: „Ja rozumiem. Dziewczyny, krzaki krakowskie na warszawskich Bielanach. Oficer — uwodziciel. Ale na miłość boską, co to ma wspólnego ze świetlicami i dniem dzisiejszym?“

Do końca w teatrze nie wytrzymała. Wyszła po bardzo budującej scenie z kankanem.

Nie zatrzymałem jej. Gdyby jednak pozostała, powiedziałbym jej, że nie jest to żaden montaż świetlicowy. Że jest to rewia lumpenproletariatu i zdegenerowanych typków z okresu kankanowego. Że jest to nie życie, które pragniemy pokazać na naszych scenach świetlicowych, ale fałsz. Że scena świetlicowa to scena wielkich i pięknych rzeczy. Niestety, z łamów niektórych wydawnictw, w piątym roku po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wydawanych, dowiedziałaby się o czymś wręcz przeciwnym.

*

Okazuje się więc, że dyskusja łódzka była bardzo potrzebna. Sytuacja na odcinku repertuaru świetlicowego pozostawia bardzo wiele do życzenia. Prawie powszechne niezrozumienie zadań sceny świetlicowej, ostre ataki na repertuar świetlic przodujących — oto smutny obraz rzeczywistości.

Czy dotychczasowa polityka repertuarowa teatrów świetlicowych szła po właściwej linii?

Oto we Wrocławiu pokazano nam „Flisa“, w Katowicach „Dobrze!“ — Majakowskiego, w Częstochowie „Karpackich górali“, w Łodzi „Matkę“, „Powódź“, „Świętoszka“, „Klub kawalerów“, „Pan inspektor przyszedł“ i wiele innych.

W Zielonej Górze, Żyrardowie, Bielsku, Bielawie, Krakowie, Lublinie, wszędzie rozwijała się praca zespołów świetlicowych. Oto fragmenty repertuaru jednego z takich zespołów — zespołu świetlicy PZPB Nr 1 w Bielawie:

Wystawiono doskonały montaż „Zwycięstwo pokoju“. Inscenizowano „Kwiaty polskie“ Tuwima. Pokazano Montgomery'ego „Dzień bez kłamstwa“, Kraszewskiego „Chatę za wsią“, szereg komedii Niewiarowicza, w tym również „Ich dwóch“, „Gdzie diabeł nie może“, T. Hołuja „Dom pod Oświęcimem“, Fredry „Gwałtu co się dzieje“, Priestley'a — „Pan inspektor przyszedł“. Ze współczesnego repertuaru radzieckiego — „Tu mówi Tajmyr“ — komedię Isajewa i Galicza.

Na wystawie darów dla II Kongresu Związków Zawodowych uwagę zwiedzających zwracał piękny album zdjęć z tych przedstawień na scenie tak dalekiej od Warszawy i Łodzi, małej, przez wszystkich zdawałoby się zapomnianej Bielawy.

Album ten był podsumowaniem pierwszych zaledwie kroków na szerokim froncie ofensywy kulturalnej, tym razem na odcinku teatralnym.

Podobno jeden z uczestników ostatniej konferencji kulturalno-oświatowej w Centralnej Radzie Związków Zawodowych mówiąc z rozpaczą o repertuarze świetlicowym, zwrócił się do zebranych z pytaniem: — I powiedzcie, towarzysze, co można zrobić z nieśmiertelną pozycją naszego teatru świetlicowego. — „Panna rekrutem“?

Z końca sali dobiegł głos basowy:

— Wydać babę za mąż!

Otóż trzeba stwierdzić obiektywnie, iż „Panna rekrutem“ już znika ze sceny świetlicowej. — A razem z „Panną rekrutem“ znika bezpowrotnie „Żyd w beczce“ i inna pseudo - świetlicowa szmira.

Świetlica zaczyna korzystać z właściwego materiału repertuarowego, z bogatej skarbnicy tak zwanego „wielkiego repertuaru“, a przede wszystkim repertuaru klasycznego.

*

Wiele u nas pisze się i mówi o zagadnieniach teatru robotniczego.

Zdaje się jednak, że warto byłoby zastanowić się przede wszystkim nad tym, czy istnieje, czy może istnieć teatr robotniczy?

Mam wrażenie, że nie istnieje i nie może istnieć żaden teatr, żadna scena robotnicza w takim znaczeniu, jak pojmuje je pewna część naszej inteligencji.

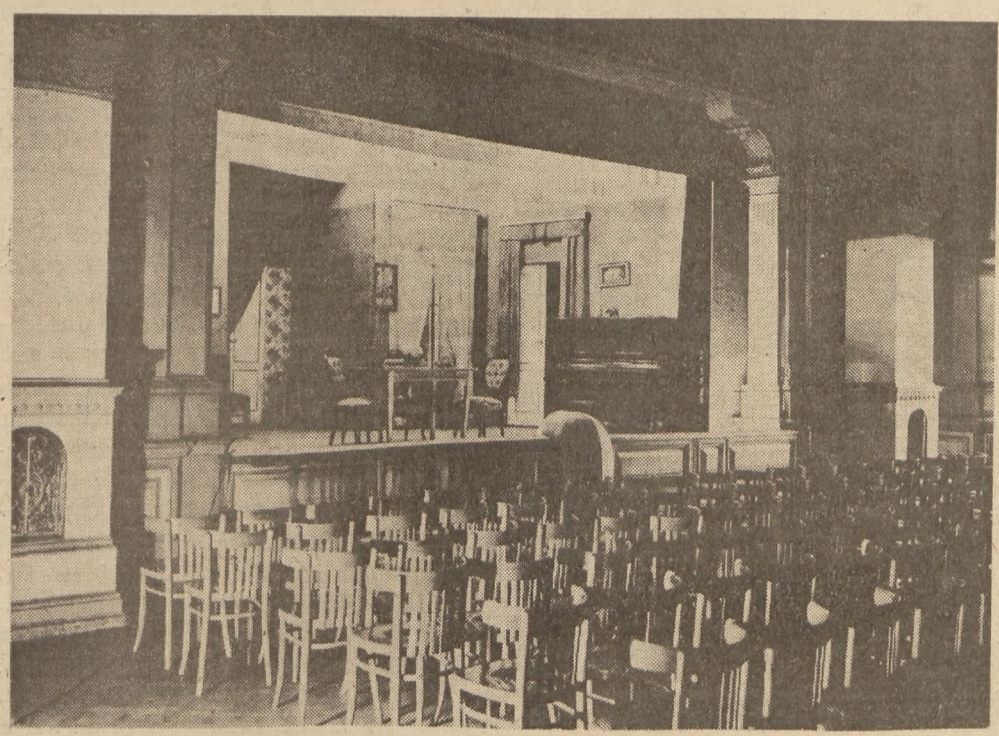

Sala teatralna Fot. A. Oracz

Podczas dyskusji łódzkiej dobitnie zdanie to zostało sformułowane przez przedstawiciela włókniarzy ob. Ambroziaka: „Nie może istnieć teatr robotniczy, nie może istnieć odrębna pseudo-klasowa kultura robotnicza. Musi już nareszcie zniknąć mniemanie, że robotnik jest człowiekiem drugiej kategorii, dla którego należałoby stwarzać odrębny repertuar na niższym poziomie literacko-artystycznym, dla którego trzeba organizować specjalne koncerty „robotnicze“, specjalne „robotnicze“ audycje radiowe“.

Próby stworzenia swoistej namiastki kultury, odrębnej sztuki robotniczej, są niczym innym jak antyludowym posunięciem, zamaskowaną próbą stworzenia polskiej odmiany „Proletkultu“, tego samego „Proletkultu“, który w swoim czasie został zdemaskowany przez Żdanowa, jako ruch reakcyjny, skierowany przeciwko jedności mas pracujących.

Świetlica jest miejscem i narzędziem wychowania socjalistycznego. O tym nie wolno zapominać przy ocenie stosunków świetlicowych, przy ocenie poszczególnych pozycji repertuaru świetlicowego. Świetlica to nie klub dla snobów i estetów, to również nie strzelecka świetlica sprzed roku 1939.

W świetlicy spotykają się robotnicy, chłopi i inteligencja pracująca.

Za mury świetlicy wyrzuca się kosmopolityzm i estetyzm. Buduje się nowe zdrowe życie kulturalne i w budowie jego nowych form, w upowszechnianiu kultury — zespoły świetlicowe odgrywają rolę niepoślednią.

Nie wolno nam zapominać o istocie teatru świetlicowego. Nie jest on teatrem zawodowym, nie może i nie powinien pełnić funkcji tego teatru. Ma on swoje własne zadania i swoją własną, tylko jemu wyznaczoną rolę. O tym należy pamiętać — łatwo bowiem omylić się w ocenie pracy zespołu świetlicowego przy braku jasnego poglądu na zadania i cele teatru świetlicowego.

Powiązany z codzienną problematyką pracy, z historią dnia dzisiejszego teatr świetlicowy jest istotną cząstką tej pracy, tego dnia. Teatr świetlicowy to piękna i doniosła szkoła. Teatr świetlicowy wychowuje widza dla teatru zawodowego, dla teatru z tak zwanego „prawdziwego“ zdarzenia, wyrabia smak artystyczny w masach, którym pragnie udostępnić teatr zawodowy. Właśnie dlatego scena świetlicowa współpracuje z teatrem zawodowym.

Chór fabryczny

Teatr świetlicowy nie jest więc TEATREM AMATORSKIM, JEST NATOMIAST ODRĘBNĄ FORMĄ SCENY UPOWSZECHNIONEJ.

W roku 1937 Andrzej Żdanow dokładnie określił zadania teatru świetlicowego, jego zasięg działania i cele. Dla teatru świetlicowego NIE jest ważne, czy sztuka zostanie wykonana na poziomie odpowiadającym poziomowi teatru zawodowego, czy niższym. Ważne natomiast jest JAKA sztuka jest grana przez zespół świetlicowy i JAK jest przez ten zespół opracowana.

W ciekawym referacie red. Powołockiego wygłoszonym w ramach dyskusji łódzkiej dobitnie została podkreślona rola współpracy teatrów zawodowych z teatrami świetlicowymi. Radziecki teatr zawodowy opiekuje się teatrem świetlicowym bardzo szeroko za pomocą instytucji tzw. szefostwa (opieki), u nas w Polsce zupełnie nieznanej i niespotykanej.

Inicjatywa roztoczenia opieki nad zespołami świetlicowymi pochodząca od znanych aktorów radzieckich Moskwina i Barsowej liczy już 10 lat. Obecnie każdy zawodowy teatr radziecki opiekuje się co najmniej jednym, a często kilkoma zespołami świetlicowymi. Wynik tej akcji jest wspaniały.

*

Wartość scenicznego wykonania wystawianej szuki, wartość wykonania poszczególnej roli aktorskiej w teatrze świetlicowym nie może być oceniana z punktu widzenia poziomu wykonania. Może ona być oceniana tylko w zależności od ideologicznego uświadomienia wykonawcy roli oraz od społecznych zadań, stojących przed nim w pracy i w życiu. Poznanie utworu dramatycznego, świadomość jego klimatu scenicznego — oto przyczynek do powodzenia poważniejszych pozycji repertuarowych na scenie teatru świetlicowego.

W teatrze świetlicowym moment WYSTAWIANIA sztuki NIE JEST MOMENTEM DECYDUJĄCYM. Decyduje zagadnienie przepracowania sztuki przez zespół aktorski, decydują wiadomości przyswajane w rezultacie odbytych prób. Nie ulega wątpliwości, że artysta zawodowy zagra swą rolę lepiej od świetliczanina. Jasnym jest, że całość spektaklu w teatrze zawodowym wypadnie lepiej. Teatr zawodowy ma inne zadanie niż teatr świetlicowy. PIERWSZY WYSTAWIA, POKAZUJE WIDOWNI, DRUGI — PRZERABIA, PRZYGOTOWUJE WIDOWNIĘ DO ODBIORU IMPREZ TEATRU ZAWODOWEGO.

Ci, którzy oceniają wartość pracy zespołu świetlicowego powodzeniem uroczystej premiery, popełniają kardynalny błąd. Praca świetlicowa nie na spektaklu galowym polega. Pracę zespołów świetlicowych należy obserwować i oceniać w czasie trwania prób. O tym, niestety, bardzo często zapominają liczni recenzenci.

Władysław Borkowski

Jan Orski

ROZWAŻANIA POKLĄTEWNE

W arsenale watykańskim nie brak różnego rodzaju oręża, który był używany przez papieży w walce z przeciwnikami politycznymi. Można ich było zwalczać zbrojną krucjatą, do której dziś jeszcze wzdychają watykańscy politycy i nowojorscy bankierzy; można było stosować intrygę dyplomatyczną lub szantaż, albo jak w średniowieczu czy za Renesansu truciznę lub sztylet skrytobójcy. W wielu wypadkach wygodna i skuteczna, każda z tych broni pociągała za sobą jednak znaczne koszty, a papieże, jak wiemy, wysoko sobie cenili brzęczącą monetę i nie lubili otwierać mieszka. Pozostawała więc do dyspozycji broń mniej skuteczna, ale za to tania: klątwa kościelna. Ten śmieszny, zużyty już w czasach feudalizmu rekwizyt postanowili właśnie wykorzystać watykańscy podżegacze wojenni w walce z postępem w imię klasowych interesów międzynarodowego kapitału i zagrozili klątwą komunistom i wszystkim, którzy budują socjalizm i walczą przeciwko imperializmowi całego świata.

Klątwa kościelna ma swoją długą historię i jest niezłym dowodem cynizmu, z jakim wyższy kler wykorzystywał dla swych politycznych czy nawet majątkowych celów naiwność milionów bezkrytycznych wiernych.

Najbardziej znany w dziejach powszechnych był fakt rzucenia w XI-ym stuleciu klątwy przez papieża Grzegorza VII na „cesarza rzymskiego narodu niemieckiego“ Henryka IV, który reprezentował najwyższą potęgę świecką ówczesnego świata. Ten, tak zwany, spór o inwestyturę zakończył się pozornie wielkim sukcesem Kościoła. Moment klątwy był dobrze wybrany, gdyż właśnie przeciw cesarzowi została utworzona koalicja potężnych wasali, którzy chcieli wykorzystać ekskomunikę dla pozbawienia Henryka IV tronu. Nic więc dziwnego, że stojący na skraju przepaści cesarz musiał udać się do Canossy (1077 r.), gdzie, jak podaje ówczesny kronikarz, musiał odbyć pokutę „przez trzy dni stojąc u bram zamku zdjąwszy szaty królewskie, boso, we włosienicy“, aby dopiero na czwarty dzień dostąpić zaszczytu rozmowy z papieżem Grzegorzem VII, który zdjął z niego klątwę. Canossa stała się tedy symbolem wielkiego zwycięstwa Kościoła, ale w niepamięć poszło, że wyklęty po raz drugi Henryk IV nie bojąc się już dywersji feudałów pomaszerował na Rzym i zmusił swego przeciwnika do sromotnej ucieczki. Symbol Canossy przetrwał mimo wszystko, zachwiana jednak została wiara w skuteczność i siłę tej watykańskiej broni; działała ona w świecie feudalnym tam tylko, gdzie pozbawiony oparcia o rycerstwo władca liczyć się musiał z polityką kleru.

Po dziś dzień pokutuje w Polsce chętnie podtrzymywana przez sfery kościelne legenda o skutecznej klątwie, rzuconej na „złego“ władcę, Bolesława Śmiałego, zabójcę św. Stanisława. Jednak już na długo przed pierwszą wojną światową T. Wojciechowski, jeden z najwybitniejszych znawców naszego średniowiecza, przedstawił te sprawę w świetle bynajmniej nie legendarnym. Biskup Stanisław został ukarany śmiercią za zdradzieckie knowania przeciwko królowi i porozumiewanie się z jego zagranicznymi wrogami. Nie pomogło to jednak Bolesławowi Śmiałemu, który wobec przybierającego na sile buntu feudałów zmuszony został do ucieczki na Węgry. Sprawiedliwe ukaranie biskupa-zdrajcy dało Kościołowi okazję do wykorzystania tej całej historii dla celów politycznych. Jak „grzyby po deszczu“ wyrosły opowiadania o różnych „cudach“, w aranżowaniu których celowały zawsze władze kościelne.

Późniejsze klątwy w dziejach Polski nie mają już tego legendarnego charakteru, jak w wypadku ze św. Stanisławem, a raczej łączą się z nimi pewne elementy groteskowe. A więc w okresie wojny domowej po śmierci Bolesława Krzywoustego poszczególni biskupi wyklinali siebie nawzajem oraz różnych książąt na tle zatargów majątkowych, nikt się tym jednak zbytnio nie przejmował. Pomimo klątwy kościelnej książę śląski Bolesław Łysy więził przez lat kilka biskupa wrocławskiego Tomasza, z którym wiódł spór o dziesięcinę, i wypuścił go dopiero po zapłaceniu znacznego okupu.

Bardziej znana była sprawa klątwy rzuconej na króla Kazimierza Wielkiego przez biskupa krakowskiego, Bodzantę, z powodu zatargu majątkowego. Monarcha jednak nie chciał ukorzyć się przed klerem. Ksiądz Baryczka, który odważył się doręczyć królowi dekret biskupi, został uwięziony, a następnie skazany na śmierć przez utopienie. Oczywiście, przy zwłokach księdza Baryczki działy się różne „cuda“, których król jednak się nie uląkł. Historycy Kościoła pouczają, iż za to, że Kazimierz Wielki „w klątwie żył i sprośnością z Esterką się parał“, został ukarany przez Boga upadkiem z konia i śmiercią. Dziś pisarze klerykalni przemilczają jednak naogół fakt, że jeden z najwybitniejszych monarchów naszego średniowiecza znajdował się pod klątwą kościelną, rzuconą nań przez biskupa krakowskiego z powodu zatargu majątkowego.

Grożono również klątwą Władysławowi Jagielle, zaś syna jego Kazimierza obłożono klątwą papieską za to, że nie pozwalał agentom Watykanu wtrącać się do spraw wewnętrznych państwa. Kazimierz Jagiellończyk zabronił odczytania klątwy na terytorium Polski i Stolica Apostolska musiała pogodzić się z tym zarządzeniem.

Od tego czasu nie słyszy się już w Polsce o klątwach rzucanych na panujących. Grożono wprawdzie jeszcze Augustowi II Sasowi, ale nie za jego jawną rozpustę czy inne nadużycia, jakby można było sądzić, lecz znów w związku z zatargiem finansowym; rozrzutny król nie chciał płacić długów, zaciągniętych u władz kościelnych. „Ukochanego syna“ Stolicy Apostolskiej wyratowali od kolizji z Kościołem bankierzy wiedeńscy, z którymi król przeprowadził jakąś transakcję finansową, naturalnie z korzyścią dla Kościoła, a szkodą dla finansów Rzeczypospolitej.

Szeroko natomiast była rozpowszechniona klątwa wobec zwykłych śmiertelników, których przy pomocy tego rodzaju broni zmuszano do płacenia haraczu pod nazwą dziesięciny. W czasach Odrodzenia i Reformacji lekceważono sobie te groźby, w dobie jednak kontrreformacji-katolickiej broń Kościoła zyskała na sile. Nieraz przy jej pomocy można było zrobić niezły interes. I tak w początkach XVIII wieku kilku „heretyckich“ mieszczan toruńskich nie mogło wyprocesować swej wierzytelności od niejakiego imć pana Piotra Bąkowskiego, który odmawiał zwrotu długu „łykom“. Mieszczanie poszli po rozum do głowy i „membranę“ (weksel) pana Bąkowskiego odstąpili biskupowi kujawsko-pomorskiemu Szembekowi za 20 procent należności, częściowo płatnej gotowizną, częściowo — po wyegzekwowaniu długu. Biskup dziarsko przystąpił do dzieła i obrzucił opornego dłużnika klątwą za różne przewinienia jak: „wiolencje panienek różnej kondicyey“, spożywanie sera w piątek i t. p. Zatwardziały grzesznik uląkł się oskarżenia i wszedł w pertraktacje z biskupem. Ugodzono się na 50 procent, na czym biskup zyskiwał półtora razy tyle, ile miał wypłacić mieszczanom. Zadowolony z transakcji Szembek ani myślał zwrócić „heretyckim“ łykom z Torunia reszty należności, co spowodowało nowy zatarg.

O ile jednak dla szlachty klątwa była tylko groźbą moralną, o tyle w stosunku do chłopów pociągała za sobą rugowanie z gospodarstw lub porcję kijów pod wioskowym pręgierzem. W początkach XVIII wieku jeden z chłopów ze wsi Tyniec na przedmieściach Kalisza pomówił proboszcza o to, że ów składał wizyty jego małżonce w celach niezbyt godziwych. W wyniku długiego sporu, w który wdało się wyższe duchowieństwo, zdradzony małżonek naraził się za „niecne pomówienie“ na ekskomunikę z Kościoła i 15 kijów pod miejscowym pręgierzem za to, że „w klątwie chodził“.

Wójt pewien z dóbr surażskich w województwie podlaskim za zaoranie spornego kawałka gruntu, do którego rościł pretensje miejscowy proboszcz, ściągnął na siebie klątwę kościelną, w następstwie czego został wyrugowany jako „parszywa owca“ przez nieprzyjaznego mu starostę z gospodarstwa.

A ileż to razy wieś cała, która odważyła się na „uczynek Bogu niemiły“, jakim była odmowa płacenia dziesięciny lub innych opłat kościelnych, podpadała pod klątwę, od której łatwo można było się uwolnić przez zapłacenie pewnej sumy pieniężnej. Nic dziwnego, że w takich warunkach klątwa była potężną bronią i środkiem ucisku chłopa polskiego przez kler.

Wspomniane już, wzajemne obrzucanie się klątwami przez wyższe duchowieństwo miało wiele momentów humorystycznych. W połowie XVI wieku arcybiskup gnieźnieński obłożył klątwą biskupa kujawsko-pomorskiego Zebrzydowskiego, z którym wiódł spór o dobra ziemskie. Ale szczytem wszystkiego była klątwa, jaką w połowie XVI stulecia biskup Jakub Uchański rzucił na... papieża Pawła IV za to, że ów poprzednio go wyklął. Nie zaszkodziło to jednak odważnemu biskupowi, gdyż za rządów następnego papieża zasiadł na stolcu arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Warto jeszcze dodać, że nawet ksiądz Hugo Kołłątaj nie uniknął klątwy za to, że w zatargach z biskupem krakowskim Sołtykiem o dobra ziemskie Uniwersytetu Jagiellońskiego bronił majątku Wszechnicy.

W wieku XIX i początkach XX „nasilenie klątewne“ słabnie. W tych czasach terroryzuje się wiernych groźbą odmowy rozgrzeszenia, jak to się na przykład działo z czytelnikami i abonentami „Naprzodu“, „Przyjaciela Ludu“, a nawet — „Pszczółki“. W roku 1896 doczekał się klątwy znany działacz chłopski ks. Stojałowski. Tym razem cios był dobrze wymierzony, gdyż Stojałowski, pragnąc pozbyć się klątwy, poszedł na kompromis. Kryjący się pod maską religijności szantaż przyniósł pewne rezultaty.

Czego się spodziewa Watykan dzisiaj, grożąc klątwą swym wiernym — tym uczciwym wyznawcom i księżom, którzy nie mogą pogodzić się z prokapitalistyczną i podżegającą do nowej wojny polityką Stolicy Apostolskiej?

W OSTATNIM NUMERZE 30—31 (209—210) TYG. „WIEŚ“ Z DNIA 24—31 LIPCA 1949 R.

Krzysztof Sławiński — Warunki zwycięstwa; **Anna Kamieńska** — Pierwsze pisma Polski Ludowej: **Tadeusz Kubiak** — wiersz „Tak długo“; **Zygmunt Pióro** — Warszawa przyszłości; **Andrzej Braun** — wiersz „Prędzej“; **Tadeusz Orlewicz** — W obozie postępu; **Piotr Chmura** — „Kultura ludu dokona cudu“; **Henryk Garbacz** — W walce o chłopski wynalazek; **Franciszek Średziński** — Doświadczenie łamie uprzedzenia; **Jan Maria Gisges** — wiersz „Szydłów miasto nieznane“; **Zofia Rzeplińska** — W Trizonii rzeczy ponure; **Lech Budrecki** — Pożegnanie z ekspresjonizmem; **Leonard Sobierajski** — O powieściach chłopskich KUK-u; **Ludwik Łakomy** — Droga partyzantów; **Witold Zalewski** — Potyczka; **Józef Janiszek** — Lud i książka; **Władysław Rymkiewicz** — Silni ludzie; **Maria Ostrowicka-Skotnicowa** — List z Zakopanego; **J. Pogan** — Fatalna reżyseria; **W. J.** — Habemus papam; Fakty i zdania; 28 ilustracji; stron 16.

Gustaw Tomala

O MŁODZIEŻY NASZEJ GMINY

Nasza gmina leży w radomszczańskim powiecie. W latach międzywojennych rzadko kiedy słyszało się, że ktoś spośród licznej młodzieży uczy się na poziomie średnim. W ostatnich latach przed minioną wojną zaledwie 5—6 młodych chłopców rocznie dostawało się do szkół średnich. Jak na ogólną liczbę 7 000 mieszkańców gminy — cyfra zastraszająco mała. W tamtych warunkach ukończenie 7 klas szkoły powszechnej uważano za rzadki sukces. Tych kilku szczęśliwców — to byli synowie bogatszych chłopów. Chodziła przed wojną po gminie wieść, że jeden z jej mieszkańców studiuje na uniwersytecie, ale to chyba legenda, bo tak naprawdę to nikt go na oczy nie widział.

Młodzież średniacka ta, która nie mogła znaleźć pracy na rodzinnej parcelce, chwytała się rzemiosła. Lecz skutek najczęściej był taki, że we wsi uprawiało rzemiosło kilku kowali, kilku cieśli, krawców czy stolarzy. A więc — jak na potrzeby — zbyt dużo. Stąd też nasi rzemieślnicy przechodzili do rzemiosła wędrownego. Smarowali w okolicy dachy smołą, wyrabiali koszyki i miotły, które zbywali, gdzie się dało. Inni znowu łapali psy i koty, przetapiali je następnie na smalec dla chorych na gruźlicę. Zawód wiejskiego hycla był w naszych stronach dosyć powszechny przed wojną. Pewna część młodzieży uprawiała kłusownictwo w okolicznych lasach. Nie jeden też chodził od miasteczka do miasteczka wołając rozpaczliwie po podwórkach — garnki lutuję, ostrzę noże! Tak było z młodzieżą, która mogła otrzymać pieniężną odprawę na wyjście w świat. Pieniądze pozwalały uruchomić jakiś warsztacik, zakupić narzędzia pracy. Rzadko jednak kiedy taki wędrowny rzemieślnik docierał do szkoły. Jego oświata zamykała się w kręgu 3—4 oddziałów miejscowej szkoły powszechnej. Później już musiał zarabiać.

Najgorsze warunki miała młodzież bezrolna i małorolna. Stanowiła ona w gminie około 30 proc. ogółu. Młodzież ta wyjeżdżała rokrocznie z naszej gminy na roboty sezonowe za granicę, chodziła od najmłodszych lat na służbę do bogatych chłopów, lub wynajmowała się do różnych ciężkich prac: młocki, kamieniołomów, karczowania lasu czy wyrabiania torfu. Tu nie było nawet mowy o ukończeniu szkoły powszechnej. W wielu wypadkach 2 oddziały stanowiły wykształcenie. Po kilku latach stawali się znowu analfabetami.

WYCHODZENIE NA CZŁOWIEKA

Moja rodzinna wieś, jedna z 19 tworzących gminę, odesłała do szkół średnich i zawodów techniczn. ponad 120 osób młodzieży w ciągu ostatnich czterech lat. Na innych wioskach sytuacja wygląda podobnie.

Największym powodzeniem cieszą się szkoły zawodowe. 65 proc. młodzieży z naszej gminy uczy się w szkole przemysłowej i średniej rolniczej, stanowiącej dumę mieszkańców gminy. Zachwyt młodzieży do życia technicznego ma swoje głębokie uzasadnienie społeczne. Zaczęło się od tego, że jeden z drobnorolnych chłopów otrzymał pracę w Gdańsku, gdzie pomaga budować sławne rudowęglowce. Po jakimś czasie ściągnął nad morze całą liczną rodzinę, której mógł zapewnić nie tylko dach nad głową, ale i pracę. Ojciec gospodarz na 2-hektarowej ziemi piaszczystej naprzemian i podmokłej, chętnie zrezygnował ze „swojego". I kiedy w ślad za nim podążyło budować okręty 6-ciu innych, opinia społeczna gminy została przełamana. Uznano powszechnie, że robotnik reprezentuje określony zawód, który zapewnia tym lepsze warunki życia, im większe zdobywa się kwalifikacje. Dużą rolę spełniają tu także listy naszej młodzieży z fabryk w dalekich miastach. Czytywane są wieczorami nieraz po kilka razy. Pisze je czterech młodych chłopów z drobnorolnych gospodarstw. Są to dziś technicy budowlani. Z ich listów odczytują chłopi wizję nowej Warszawy, wizję przyszłych wsi. Dwu młodych elektromonterów pisze meldunki z akcji elektryfikowania wsi.

Chłopi z naszej gminy patrzą z coraz większą dumą i ufnością na młodzież. Wyjść z piaszczystej parcelki na kwalifikowanego zaawansowanego technicznie robotnika — to znaczy w naszych stronach — wyjść „na człowieka".

Ale owo wychodzenie „na człowieka" ma jeszcze inne doniosłe znaczenie. Utrwala w opinii gromad i całej gminy sojusz robotniczo-chłopski. Zyskujący coraz wyższe uznanie społeczne dawny druciarz czy parobek, syn drobnorolnego — to przecież dziś kwalifikowany robotnik.

Zapewne dlatego robotniczo-chłopski ruch łączności pomyślnie rozwija się w naszej okolicy.

SOJUSZ Z ROBOTNIKAMI

Pozwólcie mi jednak opowiedzieć od początku. Oprócz „emigracji" do zawodu i szkół zawodowych obserwuje się w ostatnich dwu latach na terenie gminy ruch przeciwny. Niektórzy z naszych chłopów wracają. Można spotkać młodzież po średniej szkole w Zarządzie Gminnym i Gminnej Radzie Narodowej, spółdzielni samopomocowej, na poczcie. Czterech spośród niej objęło funkcję nauczyli w szkole podstawowej albo w średniej szkole rolniczej, skupiającej 30% ogółu uczącej się na naszym terenie młodzieży. Szkoła ta stanowi główny ośrodek życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego okolicy.

Spiritus movens stanowi Koło Związku Młodzieży Polskiej. Członkami są uczniowie szkoły, młodzież okoliczna, nierzadko nawet młodsi gospodarze. ZMP-owcy prowadzą wzorową spółdzielnię uprawy warzyw i roślin okopowych. Chłopi jak chłopi — początkowo kręcili z niedowierzaniem głowami. Odstraszała ich poza tym reakcyjna propaganda przedstawiająca w najgorszym świetle wszelką zespołową pracę w rolnictwie. Nie wytrzymali jednak, żeby nie zobaczyć, co się na terenie szkoły dzieje. Wyższe formy produkcji rolnej prezentowane przez wychowanków szkoły rolniczej są obecnie uważnie przez chłopów obserwowane. Młodzi ZMP-owcy mają nadzieję, że już w tym roku zdołają wespół z kołami Z. S. Ch. i agronomem gminnym utworzyć pierwsze grupy produkcyjne dla poszczególnych działów produkcji rolnej.

Prace kulturalne naszej młodzieży to specjalny rozdział. Przy szkole powstał zespół artystyczny. Występy zespołu objęły zrazu tylko gminę, a później cały powiat radomszczański. Oprócz kulturalno-oświatowego postawiono tu sobie równocześnie inne zadanie, a mianowicie pogłębienie sojuszu chłopsko-robotniczego.

Kilka miesięcy temu pojechali ZMP-owcy z naszej gminy do Łodzi, gdzie dali pełny wieczór świetlicowy dla robotników. Występ się udał, robotnicy zadeklarowali ze swej strony występy i oto rozpoczął się trwały ruch łączności naszych chłopów z łódzkimi robotnikami.

Robotnicy wystąpili z bogatym programem artystycznym. Przygotowali dla naszych chłopów ponadto inne niespodzianki. Wyreperowali mianowicie maszyny rolnicze, nawet takie, na które gospodarze machali już ręką, objęli opiekę nad ośrodkiem maszynowym i nad szkołą rolniczą, pomogli przy założeniu spółdzielni.

Wysoka sprawność techniczna robotników wzbudziła szczery podziw pośród mieszkańców gminy. Autorytet młodzieży pracującej w fabrykach, elektromonterów i budowniczych znacznie wzrósł. Chłopi nie bez dumy odczytywali listy robotników z fabryk.

Rezultat społeczny zapoczątkowanego ruchu łączności jest dość duży. W pierwszych dniach, zaraz po odjeździe robotników nastąpił okres zbiorowych refleksji. Chłopi zastanawiali się nad swoją techniką i organizacją produkcji.

Kiedy kilka tygodni temu przyszło zaproszenie do Łodzi, mimo fatalnej pogody znaczna liczba chłopów pojechała w gościnę do robotników. Obejrzeli tu szereg fabryk. Wyższe formy organizacji i technika produkcji pogłębiły ich refleksje. Młodzi ZMP-owcy wraz z grupą nauczycieli bardzo na to liczą, że w atmosferze stałego ruchu łączności będą mogli zrealizować swoje plany. Liczą, że będą mogli uruchomić poszczególne grupy uprawowe na terenie gminy, myślą o spółdzielni produkcyjnej.

Chciałbym jak najszybciej o zrealizowaniu tych planów napisać.

UWAGI

Powoli, lecz stale wzrasta społeczny autorytet młodzieży w naszej gminie. Ale równocześnie wzrasta zaufanie do ustroju, bo przecież młodzież naszą kształci nowy ustrój i przysposabia do działania. Waga społeczna bogaczy, dawnych „urzędników" sanacyjnych, eksoficjalistów dworskich — całego lamusa wiejskiej burżuazji, równocześnie maleje. Nie piszę „radosnego" artykułu. Rzeczywistość społeczna nie jest z plasteliny. Stawia poważne opory. Wróg klasowy bez walki nie ustępuje. Ustępuje w walce klasowej. U nas prowadzi ją młodzież z całym zapałem i poświęceniem. W walce tej ma potężnego sojusznika — klasę robotniczą, której oddziaływanie na naszą gminę staje się coraz wyraźniej decydujące.

Jan Bicki

JESZCZE O CZYTELNICTWIE WIEJSKIM

W nr 27 tygodnika społeczno-literackiego „Wieś" umieszczone były moje spostrzeżenia na temat przedstawień amatorskich na wsi.

Dziś chcę omówić sprawę czytelnictwa na wsi.

Piszę to, co spostrzegam w mojej okolicy.

Słyszy się i to nawet bardzo często przez radio, z prasy, że czytelnictwo wiejskie szybko postępuje naprzód.

Tak jest. Czytelnictwo rozwija się — ale jeszcze nie wszędzie i niejednakowo. Na rozwój czytelnictwa składa się dużo przyczyn.

Większość młodzieży na wsi (nie mówiąc już o starszych), mało jeszcze czyta, czytają tylko jednostki i zdarza się, że czyta się książki mało lub całkowicie bezwartościowe. Często popularnością cieszy się książka, której nie można nazwać inaczej, jak zwykłą bezwartościową szmatą.

Takie książki powinno się z miejsca rzucić w piec i uciekać nawet od dymu, bo dym ten zatruwa powietrze. Nasza młodzież; przeważnie zaś dziewczęta, roztkliwia się nad jakąś tam „miłością" upstrzoną fantazjami „bohaterskimi" epizodami i przeżyciami jakiejś damy szlachetnie urodzonej, którą według słów pisarki przedwojennej „prześladowało nieszczęśliwe fatum". Te książki przywoziły najczęściej dziewczęta służące w mieście.

Dziś powinno się z całą stanowczością wypowiadać przeciwko takim książkom.

W szeregu okolicznych wsi dzieje się z czytelnictwem podobnie. Młodzież wiejska po wypożyczeniu skądś takiej książki jak „Trędowata", „Ordynat Michorowski" — Mniszkówny, oraz „Gdzie jest Ewa", „Duże Kobiety" niemieckiej pisarki Mahlerowej i jeszcze wielu innych szmat, zbiera się i szeroko rozpowiada się na temat tych książek. Czy tak wyobrażamy sobie wiejską dyskusję nad książkami? Cóż im ta dyskusja przyniesie? Oczywiście, że nic. Żadnych korzyści kulturalno-oświatowych, tylko trochę szkodliwej wiary w „czarną magię" i trochę zacofania. Powinno być inaczej.

Na każdym zebraniu młodzieży Zetempowskiej czy ZSCh prelegenci przyjeżdżający do kół powinni znać na pamięć nazwiska pisarzy postępowych żyjących i nieżyjących, tytuły ich książek i co najważniejsze społeczno-wychowawczą wartość książki.

Instruktorzy społeczno-oświatowi powinni znać twórczość tych pisarzy, którzy całą swą twórczą pracę pisarską poświęcili na podniesienie oświaty najprostszych ludzi, pisarzy takich, którzy naświetlali niedolę i wyzysk nieuświadomionego ludu.

Trafia się nawet i to bardzo często, że instruktor prelegent przyjeżdżający na wieś do koła (raz na pół roku) jest nieprzygotowany Ma już wypisany cały referat, którego nie przemyślał pod kątem widzenia potrzeb słuchaczy.

Na zebraniu zastrzega sobie od razu, że... „z powodu przepracowania" nie będzie długo mówił, po czym odczytuje referat. Po odczytaniu ogłasza dyskusję. Okazuje się, że nikt głosu nie zabiera, a prelegent zamiast mówić o czytelnictwie na wsi, czym prędzej ucieka, troszcząc się o nocleg (i tak by dostał). Po odejściu prelegenta okazuje się, że nikt go nie zrozumiał i dlatego nikt głosu nie zabierał. Zdaje mi się, że taki prelegent (oczywiście nie wszyscy) sam nie rozumie, jakie zadanie miał jego referat spełnić.

Na zebraniach kół ZSCh omawia się tylko sprawy gospodarcze i zdarza się i to często, że o czytelnictwie nic się nie mówi.

A przecież zdaje się, że samopomocowcy powinni znać oświadczenie Prezesa Zarz. Zw. Samopomocy Chłopskiej, kol. Stefana Ignara, że każdy samopomocowiec poza sprawami gospodarczymi powinien zająć się sprawami kulturalno-oświatowej na wsi. Tak, i to jest racja. Samopomoc objęła przecież i sektor kulturalny na wsi.

Samopomocowcy, a zwłaszcza samopomocowcy aktywni, zarządy gminne czy powiatowe, powinni zająć się nie tylko sprawami gospodarczymi, ale i kulturą na wsi.

Wtedy na pewno mniej — i to dużo mniej by było niesamowitych wierzeń, zabobonów, mniej by było różnych plotek o znachorstwie itd.

Trzeba na wykonanie olbrzymiego zadania organizacji czytelnictwa na wsi puścić w teren setki i tysiące doświadczonych działaczy, znających dobrze zawartość bibliotek gminnych. W gminie nie można mówić o czytelnictwie w ogóle. Tam trzeba, opierając się o książki dostępne czytelnikowi, znajdujące się w zasięgu czytelnika, pokazać ich atrakcyjność. Udowodnić, że przeczytanie ich będzie miało pozytywne znaczenie dla chłopów.

Oczywiście trzeba uruchomić wielką akcję szkolenia. Na razie można wykorzystać młodzież ze szkół średnich i pisarzy, którzy mogliby przecież silniej związać się z czytelnikiem niż to czynią dotąd.

Eugenia Mądrowa

Magiczne myślenie psychologa

Z okazji przeglądania katalogu jednej z bibliotek miejskich na terenie województwa łódzkiego wpadła mi do ręki „Psychologia dziecka wiejskiego na tle ogólnej psychologii rozwoju dzieci i młodzieży" dr T. Klimowicza.

Autor, kierownik pracowni psychofizjologii pracy i poradnictwa zawodowego Państwowego Instytutu Higieny Psychicznej, jakkolwiek za prof. Chałasińskim przyznaje, że „najważniejsze cechy psychiki czy natury ludzkiej chłop posiada wspólne z całym gatunkiem ludzkim" — to jednak wnioski, jakie można wysnuć z wielu sformułowań książki niedwuznacznie wskazują na to, że te cechy natury chłopskiej, które odróżniają chłopa od mieszkańca miast są **te same** dla wszystkich bez różnicy chłopów i że jest wiele elementów w środowisku wiejskim, których nie tylko nie należy usuwać, ale wprost przeciwnie — pielęgnować je, aby nie zginęły pod naporem kultury i cywilizacji miejskiej.

Posłuchajmy:

„Każde dziecko — powiada np. H. Fuchs— niezależnie od tego, z jakiego środowiska pochodzi, znajduje na wsi otoczenie, które mu najbardziej odpowiada. Z tego względu każde dziecko wiejskie ma ogromną przewagę nad dzieckiem miejskim".

„Dziecko wiejskie — pisze dalej tenże autor — rośnie w środowisku, które najbardziej harmonizuje ze strukturą psychiczną dziecięctwa".

A dr T. Klimowicz w wyjaśnieniu dodaje: „Autor chce przez to podkreślić spokój panujący w środowisku wiejskim, brak nadmiaru silnych wrażeń i względną prostotę stylu życiowego wsi". Uwaga to tak rozbrajająca, że chciałoby się autora wprost zapytać, czy nie można by tak wszystkich dzieci z miast spędzić na wieś, oderwać od krzykliwego, ruchliwego życia miejskiego. Odsunąć dziecko miejskie od wpływu cywilizacji, techniki miejskiej, od radia, kina. Niech na łonie matki przyrody w spokoju ducha i prostocie ugania się za bydłem po pastwisku. Wszak głównym zajęciem dziecka wiejskiego, jak przyznaje autor „Psychologii dziecka wiejskiego", jest pasanie najpierw gęsi i świń, potem krów i wreszcie koni. To otoczenie zdaniem autora pomnożone przez uciążliwą pracę fizyczną najczęściej nad siły jest znacznie odpowiedniejsze niż pozbawione tlenu i innych przyjemności życie dziecka miejskiego. Nawet atmosfera „surowości i pewnej oziębłości uczuciowej, na którą skarżą się częstokroć dzieci i młodzież" wiejska jest z gatunku tych, które dają „ogromną przewagę" dziecku wiejskiemu.

W innym miejscu autor „Psychologii" powołując się na świadectwo prof. Chałasińskiego, rozważającego kwestię konserwatyzmu chłopskiego, pisze:

„Z tego względu chłop jest niejako predystynowany na dobrego obywatela państwa demokratycznego rozwijającego się drogą ewolucji z pieczołowitym i pełnym pietyzmu zachowaniem **tych tradycyjnych instytucji i metod działania** (podkreślenie moje—E. M.) które się ostały w toku wiekowego rozwoju jako najgłębsze wytwory i przejawy ducha narodowego".

Wniosek, jaki czytelnik musi wysnuć z tego rodzaju poglądów, może być tylko jeden: precz z mechanizacją rolnictwa, precz ze spółdzielniami produkcyjnymi, bo to nie ewolucyjne, ale rewolucyjne instytucje i metody działania, które w życie wsi wnoszą niezdrowy ferment, który H. M. Burton cytowany przez dr Klimowicza określa mianem „urbanistycznej cywilizacji". Te nowe, rewolucyjne instytucje i metody działania bowiem tak całkowicie zmieniają oblicze tradycyjnej wsi, że nie zostawiają nawet najbardziej niewinnych jej elementów.

Pogląd swój wyraził autor tak jasno i bez niedomówień, że nie dziwimy się już wcale, dlaczego jeden z rozdziałów swej książki rozpoczyna cytatem z J. J. Rousseau: „Prawdziwym człowiekiem jest chłop".

Jeszcze ciekawsza jest argumentacja uzasadniająca sobkostwo, dumę i wybujały indywidualizm chłopa. Miast potępić te cechy i wykazać historycznie i socjologicznie ich przyczyny ogranicza się do takiego werbalnego stwierdzenia:

„Ziemia stanowi jedyny warsztat pracy, który będąc niezniszczalnym, bo w swym bycie od człowieka niezależnym, daje swemu posiadaczowi poczucie niezależności, siły i spokoju".

Czyż nie klasyczny przykład magicznego sposobu myślenia? I skąd to przekonanie, że chłop jest pewny siebie? Czy dlatego że nie zna dnia ani godziny, w której grad zniszczy mu zasiewy w polu, czy dlatego. że pomór na bydło każdej chwili może zniszczyć mu inwentarz żywy? Wszakże to nic innego jak tylko ta niepewność jutra, nieznajomość i nieumiejętność opanowania sił przyrody była i jest jeszcze w znacznej mierze nadal przyczyną magiczno-religijnego sposobu myślenia chłopa.

Niewątpliwie można mówić o chłopskiej pewności siebie, ale tylko i wyłącznie w stosunku do najbogatszej grupy chłopów. Pewność siebie nie wynika bowiem z gospodarzenia na roli, ale z gospodarzenia na kilkunastu lub kilkudziesięciu jej hektarach. Dla kułaka nieurodzaj nie równał się głodowi na przednówku, owszem dzięki posiadanym zapasom nieurodzaj mógł być nieraz okazją do odbicia sobie na cenie. Tylko ta kułacka, stosunkowo nieliczna grupa wsi, może mieć jakieś kontakty ideologiczne i cechy wspólne z ziemiaństwem. Tylko chłop bogaty wiodący do niedawna prym w społecznym życiu wsi czuł się panem u siebie, gospodarzem, włodarzem. Tylko on miał poczucie „niezależności, suwerenności i siły".

Średnio- i małorolny chłop czuli nie tylko zależność od sił przyrody, ale i od warstw społecznie i gospodarczo silniejszych. Mówić o chłopstwie jako o niezróżnicowanej grupie społecznej jest równie poważnym błędem jak kwestionować dziecku wiejskiemu prawo do tych rozrywek, tych urządzeń technicznych i instytucji kulturalnych, które są dziś udziałem znacznej części młodzieży w miastach.

Trzeba dziś zdać sobie każdemu sprawę z tego, że droga do dobrobytu wsi to nie droga tradycjonalizmu, ale droga mechanizacji rolnictwa, to droga rewolucyjnych zmian metod gospodarowania ziemią, droga powolnej, ale stałej i konsekwentnej urbanizacji całego życia na wsi.

Publikowanie i rozpowszechnianie choćby najbardziej rzekomo naukowych książek — które w ten czy inny sposób nawiązują do starych, nie wytrzymujących krytyki haseł i poglądów nie jest niczym innym, jak wspomaganiem tych wstecznych sił w narodzie, które boją się jak ognia każdej zmiany dotychczasowego porządku na wsi.

O zabawach wiejsk ch

Lato dla pracującej wsi jest długim szeregiem twardych dni. Chłopi po całotygodniowej pracy chętnie szukają w niedzielę odpoczynku. Niedzielę spędzają w różny sposób. Poruszę w związku z tym tylko jedną sprawę: zabaw w zielonym karnawale, które w lecie co niedzielę i święta są organizowane przez różne instytucje po wsiach w celach zarobkowych. Aż rozpacz człowieka ogarnia, kiedy patrzy, co się dzieje na tych zabawach.

Nieodłączną rzeczą przy zabawach są bufety... zaopatrzone w napoje alkoholowe. Uraczeni „orzeźwiającym" napojem młodzieńcy stają się panami zabawy. Wszędzie ich słychać i widać.

Takie „zabawy" spotyka się niestety jeszcze dość często, ale dalej tak być nie może. Sprawą tą powinny w pierwszym rzędzie zająć się koła ZMP. ZMP — organizacja ideowo-wychowawcza musi dbać o dobro swych członków oraz młodzieży niezorganizowanej. Alkohol, ten wróg postępu a przyjaciel ciemnoty i zacofania, musi zniknąć z bufetów.

Każde koło ZMP powinno radzić, na zebraniach, w jaki sposób podjąć walkę z wódką. Sposobów jest wiele. Miejsce bufetów powinny zająć przedstawienia i loterie fantowe. Praca to nie łatwa, ale możliwa do wykonania.

Zetempowiec z łódzkiego

Kapitalizm i jego kultura

„Dookoła samochodu ciężarowego, z którego wyrzucano śmiecie i inne odpadki, zebrało się około 35 mężczyzn, kobiet i dzieci. Gdy tylko samochód odjechał, wszyscy oni zaczęli grzebać w śmietniku pałkami, a niektórzy nawet rękoma, chwytając resztki żywności i jarzyn". Jest to fragment książki Jerome'a Davisa, postępowego profesora uniwersytetu w Yale — „Kapitalizm i jego kultura".

Davis pisze, że trzy rodziny: Dupontów, Melonów i Rockefellerów dysponują kapitałem akcyjnym sięgającym 1.400.000.000 dolarów. Magnaci finansowi trzymają karety i specjalnych lokai dla ulubionych małp, kupują lornetki teatralne wartości 75 tys. dolarów, wstawiają sobie do zębów brylanty, podczas gdy 13,5 miliona przeciętnych rodzin amerykańskich wydało w r. 1947 o 11 milionów dol. więcej niż wyniosły ich zarobki, to znaczy wyczerpało oszczędności lub popadło w długi. Rockefeller zbudował dla swych dzieci domek gry wartości 500 tys. dolarów. Równocześnie 450 tys. rodzin w Nowym Yorku mieszka w domach urągających najelementarniejszym potrzebom higieny. W roku 1948 zyski amerykańskich kapitalistów osiągnęły niebywałą w historii wysokość — 20.8 miliarda dol. Ale równocześnie — podaje Davis — 25 milionów Amerykan cierpi chronicznie na jakąś chorobę. 85 proc. dzieci choruje na anemię! 325.000 osób umiera rocznie z powodu braku odpowiedniej pomocy lekarskiej.

Specjalną część książki poświęca autor tzw. swobodom amerykańskim. Jego los najlepiej ilustruje owe „swobody". Profesor Davis został zmuszony do opuszczenia katedry jako podejrzany o działalność antyamerykańską.

p. p.

Tańcowały dwa Michały

Zachodnio-europejskie sfery przemysłowe niepokoją się zaostrzającymi się coraz bardziej sprzecznościami interesów angielskich i amerykańskich. Niepokój ten ujawnia się nawet w środowiskach przychylnych dotąd wszelkim planom „pomocy" „postępowej" Ameryki dla „zacofanej" Europy.

Organ belgijskich przemysłowców „La Metropole", analizując plany prezydenta Trumana dotyczące pomocy amerykańskiej dla „krajów gospodarczo zacofanych", pisze:

„Po obnażeniu planu Trumana z wielkich ogólnoludzkich ideałów jasne się staje, że program pomocy dla krajów zacofanych ma jedynie jedną rzecz na względzie: uratowanie gospodarki amerykańskiej przed nadciągającym kryzysem... Niechaj prezydent USA nie stara się wprowadzać opinii europejskiej w błąd... Europa od dawna przejrzała grę USA i nie dopuści, aby jej kosztem Amerykanie ratowali się przed kryzysem..."

Patrzcie państwo: Europa przejrzała... Wcale pięknie i postępowo jak na przemysłowców... Nie zanosi się jednak na to, aby duży Michał amerykański d o b r o w o l n i e ustąpił pola mniejszym angielskim czy belgijskim Michałkom. Taki już jest system kapitalistyczny... Dotąd będą tańcować, aż obydwaj ustaną.

w

Wilcze oblicze

Plan Marshalla początkowo wabił Europę syrenimi głosami — rzucał obietnice pomocy w odbudowie zniszczonych wojną krajów, projektował ogólne zestrojenie produkcji, wszechstronne uregulowanie stosunków handlowych, miał jednym słowem sterować Europą do dobrobytu i szczęśliwości. Wiemy, czym się okazał w praktyce. Nie tylko narzędziem ostrego podporządkowania krajów marshallowskich interesom USA, ale jak widzimy ostatnio, stał się dla Stanów Zjednoczonych planem własnej obrony przed kryzysem i to kosztem krajów, którym miał udzielić pomocy.

Pierwsza faza planu Marshalla przyniosła monopolistom amerykańskim kolosalne zyski — Europie Zachodniej spadek produkcji, wzrost bezrobocia, obniżenie stopy życiowej. Interesujące, że właśnie ten okres pomocnik sekretarza stanu USA do spraw gospodarczych Thorp nazywa „miodowym miesiącem w powojennych międzynarodowych stosunkach gospodarczych". Uważa on, że „okres ten dobiega obecnie końca, a przyszłość przyniesie o wiele surowsze próby zdolności i gotowości krajów do współpracy między sobą w dziedzinie gospodarczej". Może jedną z tych „surowszych prób" dla krajów zachodnio - europejskich będzie memorandum, jakie Achesonowi i Trumanowi złożyli w sprawie „równowagi politycznej w Europie" radca Departamentu Stanu USA George Cunnan i szef rządu do spraw Niemiec i Austrii przy Departamencie Stanu Robert Murphy. Według projektów tych amerykańskich „mężów stanu" należy przekształcić zachodnie strefy Niemiec w ekonomiczny i polityczny ośrodek Europy zachodniej. stworzyć z nich jednym słowem „kierowniczą siłę Europy", ponadto Niemcom zachodnim powinna przypaść lwia część funduszów z kredytów marshallowskich. Rzeczywiście kończy się śpiew amerykańskich syren, plan Marshalla odsłania swoje oblicze, staje się bezwstydnym narzędziem polityki imperialistycznej trustów i monopoli amerykańskich.

K.

FAKTY i ZDANIA

Interes idzie!

Berliński „Taegliche Rundschau" przynosi wiadomość o oświadczeniu amerykańskich towarzystw lotniczych, że zaskarżą one do sądu... amerykańskie i brytyjskie zarządy wojskowe w Niemczech, gdyby przewozy na moście powietrznym na skutek ostatnich umów międzynarodowych zostały wstrzymane. Oświadczenie towarzystw lotniczych przypomina ...że kontrakt zawarty między zarządami wojskowymi a towarzystwami opiewa na cały rok 1949.

Kontrakt zaś, jak stwierdza „Taegliche Rundschau", daje „British Europeen Air Ways" i innym towarzystwom lotniczym na czysto 200 tysięcy funtów szterlingów miesięcznie. 200 tysięcy! I to nagle ma się urwać!

Władze amerykańskie w obawie przed... procesem most utrzymują. Żeby jednak już wszystko było w porządku, wszystkie koszty utrzymania mostu przerzucone zostały na płatników niemieckich. „Udział" niemiecki w tej imprezie ma wynosić 60 milionów marek miesięcznie. Zyski jak dotychczas zgarniają amerykańscy i angielscy akcjonariusze. I chwalić Boga — interes idzie!

z

Szpiegowskie szczyty

Do Iranu przybył niedawno w charakterze „alpinisty" niejaki Wiliam Douglas. Otóż Douglas-alpinista wspina się rzeczywiście na wysoke szczyty. Odwiedził irańskiego premiera, odwiedził ministra spraw zagranicznych. A po tych wizytach udał się na wycieczkę w tereny — wg relacji prasy irańskiej — bardzo przydatne do budowy baz wojennych. Wysokie rzeczywiście szczyty.

Jak podają irańskie gazety — Douglas ma za zadanie sporządzenie raportu o sytuacji w Iranie, a w szczególności w armii irańskiej.

r.

Chwyt bankrutów

Pod naporem chińskiej Armii Ludowej gwałtownie kurczy się „stan posiadania" Czang-Kai-Szeka i jego reakcyjnych satelitów, kończy się dla nich kupczenie własnym krajem. Są już w przededniu ostatecznej klęski, ale jeszcze ich pomysłowość wysila się na to, jaki tu ochłap dla siebie wyrwać, jak „zaczarować" swoich mocodawców z Wall-Street? No i wymyślili. Chcą bronić południowych Indochin. USA w obronie anglosaskich interesów powinny dać na to pieniądze, ale nie za darmo — politycy kuomintangowskich Chin ogłaszają przy okazji likwidacyjną wyprzedaż, ich ostatnim artykułem jest tym razem... Formoza. Chętnie odstąpią oni Stanom Zjednoczonym wyspę za półtora miliona dolarów.

Kto wie, czy nie doszłoby nawet do transakcji, gdyby ministrem obrony narodowej USA był nadal James Forrestal. Ale jak wiadomo, jego idea totalnego uporządkowania anglosaskich interesów nie wyszła mu na zdrowie, bo zaprowadziła go do szpitala dla obłąkanych. Gdy zabrakło Forrestala, trudno będzie znaleźć drugiego polityka, który by pozytywnie rozpatrzył ostatnią z ostatnich ofertę Czang-Kai-Szeka Tak że nie pomoże i Formoza. Dla „zgranych" nie znajdzie się miejsca na Wall-Street, która chętnie notuje zyski, a brzydzi się stratami.

K. B.

Też pomoc

Stany Zjednoczone—jak powszechnie wiadomo — udzielają „niewielkiej" „pomocy" monarcho-faszystowskiej Grecji. Samoloty bojowe, armaty, karabiny maszynowe, bomby, gazy trujące i wszelkiego rodzaju sprzęt wojenny — to pomoc widocznie zbyt mała, bo Departament Stanu wynalazł nową „pomoc". Otóż Stany Zjednoczone postanowiły sprowadzić grupę wyższych oficerów policji monarcho-faszystowskiej, w tym celu, by ich przeszkolić w metodach policji amerykańskiej. „Studia" te odbędą policjanci greccy w ramach marshallowskiego planu „pomocy".

„Pomocy" oczywiście, tylko pomocy, która pomnaża nędzę, głód i śmiertelność. To się nazywa niedźwiedzia przysługa.

s.

Konferencja zdrajców

Ostatnio, jeszcze przed chorobą minister Cripps odbył dłuższą konferencję z labourzystowskimi przywódcami angielskich trade-unionów. Jak donosi prasa brytyjska — rozmowa toczyła się na temat nadmiernego wzrostu zysków monopoli i nadmiernych podatków, ciążących na klasie robotniczej. Na temat tej konferencji pisał konserwatywny „Observer", że „rzecz nie w tym, iż członkowie Rady Generalnej (Trade Unionów) nie są zgodni z postępowaniem albo oświadczeniami ministra finansów, ale większość z nich najwidoczniej uważa, że nie będą mogli przekonać o swojej słuszności szeregowych członków ruchu zawodowego. Oni twierdzą, że popieranie polityki rządu w jej poprzedniej postaci doprowadzi tylko do utraty przez nich autorytetu wśród członków związków zawodowych".

Nikt rzeczywiście nie wątpi, że zdradzieccy przywódcy brytyjskich związków zawodowych wszelkimi siłami popierają Attlee i Bevina. A masy robotnicze — tego poparcia coraz bardziej odmawiają.

r.

Białe niewolnictwo

Pozostającym obecnie na terenach Niemiec Polakom obiecuje się złote góry w Ameryce. Chodzi bowiem o to, aby nie wracali do odbudowującej się ojczyzny. Wielu Polaków, nierzadko dawnych oficerów i żołnierzy, opuszcza z ulgą obozy w Niemczech i wędruje za ocean. A tam?

„Rodziny te pomieszczono w szopach bez żadnej kanalizacji, bez bieżącej wody nadającej się do picia. Wodę mieli tylko deszczową, która gromadziła się w zależności od opadów w kolosalnych zbiornikach stojących na podwórzu" — pisze „Dziennik Związkowy" wychodzący na terenie USA w języku polskim.

Rzecz prosta, haniebnie oszukani chcieli porzucić pracę. A wtedy: „Właściciele plantacji, na której pracowali, straszyli ich, że gdyby pracę porzucili, z powrotem odesłani zostaną do obozów w Niemczech".

Oto sytuacja emigrantów polskich z lat ostatniej wojny. Zaczyna się od wielkich słów, kończy na zwykłym szantażu i wyzysku. Pewien oficer, uczestnik powstania warszawskiego, skarży się w liście do „Dziennika dla Wszystkich", któremu zresztą zawdzięcza „posadę" robotnika rolnego, że uciążliwe kopanie, odrzucanie gnoju, dojenie krów wyczerpało już zupełnie jego siły.

„Pamiętać należy, że farmer zaangażował pana do pracy nie z żadnych względów humanitarnych lecz po prostu dlatego, ażeby pańską pracę wykorzystać" — pisze redakcja w odpowiedzi.

Maską dla tej całej perfidnej roboty jest rzekomy humanitaryzm. Celem dostarczenie Stanom Zjednoczonym taniego robotnika z Europy — białego niewolnika.

J. S.

Biblioteki na wieś i do fabryk

Zarząd Główny ZMP przystąpił ostatnio do szerszej akcji zaopatrywania robotniczych i wiejskich kół ZMP w podręczne biblioteczki. Akcja ważna, jeśli się zważy niedostateczną jeszcze sieć bibliotek publicznych w terenie oraz nieodpowiedni często dobór książek w istniejących bibliotekach organizacyjnych i publicznych.

Biblioteczka podręczna Koła Wiejskiego ZMP (jak i robotniczego) jest tak pomyślana, aby stanowiła niezbędną pomoc w rozumieniu zachodzących przemian społecznych i kulturalnych w Polsce Ludowej i świecie. Na biblioteczkę składają się wybrane tytuły z literatury społeczno-politycznej (Lenin, Stalin, Bierut, Minc, Zambrowski i in.), popularno-naukowej, literatury zawodowej, literatury pięknej (Bek, Gorki, Niekrasow, Piórkowski, Pujmanowa, Rudnicki, Sempołowska, Awdiejew), literatury świetlicowo-artystycznej, biograficznej.

Niezależnie od tej akcji Zarząd Główny przeznaczył 1 000 kompletów nagród książkowych dla tych kół, które wykażą się:

1. najlepszymi osiągnięciami w produkcji,
2. najlepszymi osiągnięciami w przeprowadzaniu akcji ogólnoorganizacyjnej.
3. najbardziej sprawnym i owocnym użytkowaniem „biblioteczki podręcznej koła".

Cena biblioteczki koła wiejskiego wynosi 4.345 zł., przy czym koło wpłaca 2.000, resztę zaś ZG ZMP.

Czy akcja biblioteczna Zarządu Głównego ZMP nie jest jednym z przejawów przemian kulturalnych zachodzących dziś w Polsce Ludowej?

t.

Jak się na wsi buduje?

Siła społeczna Polski Ludowej jest dostatecznie wielka, by się wyrazić w architekturze i rzeczywiście wyraża się ona w wielu wsiach. Są jednak wciąż jeszcze wsie takie, gdzie jest inaczej, i właśnie o nich chcę powiedzieć kilka słów. Widzę, że buduje się także w tych wsiach, które nie uległy zniszczeniom wojennym. Budują chłopi, biedni i bogaci, w zakresie własnej inicjatywy. Są nawet wsie, gdzie pęd do budowania przybiera charakter masowy. Miałoby się ochotę ocenić dodatnio te wysiłki, niestety jednak wytwory tego indywidualnego budownictwa zmuszają do zajęcia innej postawy. Tandetne wykonanie, lekceważenie wskazań sanitarnych, racjonalnych planów zabudowania, wszelkich norm estetycznych — oto charakterystyka takiego budownictwa. Obserwowane przez mnie budynki murowane są zaprzeczeniem wszelkiego postępu. Powstają one całkowicie poza tymi wzorami, o których się pisze w prasie wiejskiej, a także poza wzorami nowoczesnego budownictwa wiejskiego tu i ówdzie już zrealizowanymi.

Można by się odnosić tolerancyjnie do owych anachronizmów architektonicznych jako do wyrazu okresu przełomowego, w którym dawność zmaga się z nowością, gdyby nie fakt, że te epigoniczne twory przedłużają anachroniczny stan budownictwa wiejskiego o lat kilkadziesiąt. Z tego to właśnie względu z największym niepokojem patrzę na stosy cegieł piętrzące się w licznych zagrodach wiejskich, obawiam się bowiem, że powstanie z nich coś równie epigonicznego, jak to, co zbudowali sąsiedzi.

A przecież także w tych wsiach, w których buduje się owe pomniki wstecznictwa (nieraz z zaznaczonymi datami r. 1947, r. 1949) istnieje zorganizowana siła społeczna, której zadaniem jest zatroszczyć się o budownictwo wiejskie, nie dopuszczać do utrwalania się epigonizmów, natomiast pilnować postępu, a wobec tego przedłużanie „idiotyzmu życia wiejskiego" nie wydaje się rzeczą konieczną.

Jola Wachowska

ZMIANA ADRESU REDAKCJI i ADMINISTRACJI

Zawiadamiamy, że od 1 sierpnia b. r. redakcja i administracja tyg. „WIEŚ" mieścić się będzie **w Warszawie**. Wszelką korespondencję do redakcji i administracji prosimy kierować na adres:

Warszawa, Starynkiewicza 7

Zmienione też zostaje konto P. K. O.

Należność za prenumeratę (przypominamy o uregulowaniu **zaległej** prenumeraty!) prosimy wpłacać na konto

P. K. O. Warszawa I — 6841

z zaznaczeniem: „za tyg. „WIEŚ"

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Redaktor naczelny - JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240 — zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960.— zł
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I — 6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2.
D—04459